

William King

Klątwa

Przełożył Sławomir Kędzierski

S&C

Exlibris

– Słowo daje, nie chce żadnych kłopotów – powiedział Feliks Jaegar szczerze. Rozłożył szeroko puste dłonie. – Zostawcie tylko dziewczynę w spokoju. Nie proszę o nic więcej.

Pijani traperzy roześmiali się paskudnie.

– Zostawcie tylko dziewczynę w spokoju – przedrzeźniając go powtórzył jeden z nich wysokim, sepleniącym głosem.

Feliks obrzucił spojrzeniem wnętrze faktorii szukając wsparcia. Kilku mężczyzn w ciężkich góralskich futrach spojrzało na niego zamroczonymi alkoholem oczyma. Właściciel sklepu, wysoki, szczupły mężczyzna, o gładko zaczesanych włosach odwrócił się i zaczął ustawiać butle z konserwami na grubo ciosanych, drewnianych półkach. Więcej gości nie było.

Jeden z traperów, potężnie zbudowany mężczyzna, pochylił się groźnie nad Feliksem. Feliks wyraźnie widział drobiny tłuszczu przyklepione do jego brody. Gdy traper otworzył usta, żeby się odezwać, odór taniej wódki przytłumił nawet smród zjełczałego niedźwiedziego sadła, używanego w górach do zabezpieczania się przed chłodem.

Feliks zmarszczył nos.

– Hej, Hef, chyba mamy tu miastowego chłopaczka – powiedział traper. – Bardzo ładnie mówi.

Mężczyzna nazwany Hefem spojrzał od stołu, do którego przycisnął szamoczącą się dziewczynę.

– Tak, Lars, rzeczywiście ładnie mówi i ma takie śliczne włoski, złociste jak zboże. Niemal mógłbym go pomylić z dziewczyną.

– Kiedy wracam z gór, wszystko wydaje mi się piękne. Wiesz, co ci powiem? Możesz zająć się dziewczyną. Ja wezmę sobie tego ślicznego

chłoptasia.

Feliks poczuł, że jego twarz pokrywa się rumieńcem. Zaczęła ogarniać go złość. Ukrył jednak gniew pod uśmiechem. O ile się uda, wolałby uniknąć kłopotów.

– Ależ panowie, dajcie spokój. Lepiej postawię wam kolejkę.

Lars odwrócił się do Hefa i ryknął śmiechem. – Ma i pieniądze. Dopisuje mi dziś szczęście.

Hef uśmiechnął się głupawo. Feliks rozejrzał się wokoło zaszczutym wzrokiem, gdy ten potężny mężczyzna zaczął się do niego zbliżać. Do licha, gdzie się podział Gotrek? Dlaczego nigdy go nie ma w pobliżu, kiedy jest potrzebny? Odwrócił się do Larsa.

– W porządku, przepraszam, że się wtrąciłem. A teraz pozwólcie, panowie, że was opuszczę.

Zobaczył, że Lars rozluźnia się i przestaje być tak czujny. Pozwolił mu podejść bliżej. Gdy traper rozłożył szeroko ramiona, jakby próbując go nimi objąć, Feliks uniósł gwałtownie kolano. Trafił Larsa prosto w podbrzusze. Powietrze uleciało z wielkiego mężczyzny z sapnięciem przypominającym odgłos miechów kowalskich. Zgiął się w pół. Feliks chwycił go za brodę i pociągnął w dół, na spotkanie swojego kolana.

Usłyszał trzask łamiących się zębów i głowa traperza odskoczyła do tyłu.

Lars runął na podłogę próbując złapać oddech i trzymając się za podbrzusze.

– Co się dzieje, na Taala? – zapytał Hef.

Jeden z pozostałych traperów uderzył Feliksa. Siła ciosu cisnęła Jaegara w drugi koniec izby i rzuciła na stół. Przewrócił stojący tam kufel z piwem.

– Przepraszam – powiedział do właściciela piwa.

Chwycił stół i próbował go unieść, żeby rzucić w napastnika. Wyteżył się tak, że myślał, iż pękną mu mięśnie grzbietu.

Pijak popatrzył na niego i uśmiechnął się.

– Nie uda ci się. Jest przybity do podłogi. Na wypadek bójek.

– Dziękuję, że mnie uprzedziłeś – odparł Feliks.

Ktoś chwycił go za włosy i uderzył jego głową o blat stołu. Ból eksplodował mu w czaszce. Przed oczyma zatańczyły czarne punkty. Na twarzy poczuł wilgoć. Krwawieć, pomyślał, ale zaraz uświadomił sobie, że to tylko rozlane piwo. Powtórnie wyrznięto jego głową w stół. Usłyszał, jakby gdzieś z oddali, odgłos zbliżających się kroków.

– Przytrzymaj go, Kell. Zabawimy się z nim trochę za to, co zrobił

Larsowi. – Poznał głos Hefa.

Rozpaczliwie machnął do tyłu łokciem, wbijając go z całej siły w twarde mięśnie brzucha Kella. Chwył na jego włosach nieco się rozluźnił. Wyrwał się i odwrócił, żeby stawić czoła napastnikom. Macał gorączkowo prawą ręką, szukając kufla po piwie. Jak przez mgłę widział zbliżających się traperów. Dziewczyna wybiegła z izby. Feliks zobaczył, jak zamykają się za nią drzwi i usłyszał jej wołanie o pomoc. Hef wyciągnął nóż zza pasa. Palce Feliksa zacisnęły się na uchwycie kufla. Machnął nim i trafił Kella w twarz. Traper zachwiał się, ale wypłuł tylko krew i po chwili znowu ruszył na Feliksa, uśmiechając się głupkowato.

Twarde jak stal palce chwyciły przegub Jaegara, zmuszając do wypuszczenia kufla. Mimo wściekłego oporu, jego ramię było nieubłaganie wyginane do tyłu przez znacznie silniejszego Kella. Odór niedźwiedziego sadła i nie mytego ciała przyprawiał go o mdłości.

Warknął i próbował się uwolnić, ale jego szamotanina była bezowocna.

Coś ostrego dotknęło jego gardła. Spojrzał w dół. Hef oparł o jego grdykę sztych ostrego noża. Feliks poczuł zapach dobrze naoliwionej stali i zobaczył własną krew, ściekającą po ostrzu. Zamarł bez ruchu. Jeżeli Hef pochyli się do przodu, on rozpocznie wędrówkę po królestwie Morra.

– To było bardzo niegrzeczne, chłopcze – oznajmił Hef. – Stary Lars chciał tylko okazać trochę czułości, a ty wybiłeś mu zęby; No i jak myślisz, co my, jego przyjaciele, powinniśmy z tobą zrobić?

– Zabij tego cholernego dupka – wybełkotał Lars.

Feliks czuł, że Kell jeszcze bardziej wygina mu rękę za plecy, niemal wyłamując ją ze stawu. Jęknął z bólu.

– Sądzę, że chyba to właśnie zrobimy – stwierdził Hef.

– Nie możecie – powiedział stojący za barem handlarz. – To byłoby morderstwo.

– Zamknij się, Pike. – powiedział Hef. – Pytał cię ktoś?

Feliks czuł, że rzeczywiście zamierzają to zrobić. Ogarnęła ich zrodzona z alkoholu żądza przemocy i gotowi byli zabijać. Feliks po prostu dostarczył im niezbędnego pretekstu.

– Dawno już nie zabiłem tak ładnego chłoptasia – stwierdził Hef przyciskając nóż nieco mocniej. Feliks skrzywił się z bólu. – Będziesz prosił, chłoptasiu? Będziesz błagał o życie?

– Idź do diabła – odparł Feliks. Bardzo chciałby splunąć, ale w ustach miał zupełnie sucho. Kolana się pod nim ugiwały i cały drżał. Zamknął oczy.

– Nie jesteś już taki uprzejmy, miejski chłopaczku, co? – Feliks słyszał śmiech dudniący w gardle Kella. Cóż za miejsce, by umrzeć! – przemknęła mu bezsensowna myśl – Jakaś diabelska faktoria w Szarych Górach... Poczuł, podmuch mroźnego powietrza i usłyszał dźwięk

otwieranych drzwi.

– Pierwszy, który wyrządza krzywdę temu człeczynie umrze natychmiast – powiedział głęboki głos, przypominający swym dźwiękiem zgrzytanie kamienia o kamień. – Następnemu poświęcę nieco więcej czasu.

Feliks otworzył oczy. Nad ramieniem Hefa dostrzegł Gotreka Gurnissona, Zabójcę Trolli. Krasnolud stał w wejściu. Jego krepą postać wypełniała całą szerokość drzwi. Był wzrostu zaledwie dziewięcioletniego chłopca, ale umięśnieniem dorównywał dwóm silnym mężczyznom. Światło pochodni oświetlało dziwny tatuaż, pokrywający całe jego ciało i przekształcało oczodoły w mroczne jaskinie, w których świeciły szalone oczy.

Hef roześmiał się, a potem powiedział nie odwracając głowy:

– Zniknij, przybyszu, albo kiedy skończymy już z twoim przyjacielem, zabierzemy się do deble.

Feliks poczuł, że ściskająca jego rękę dłoń wyraźnie osłabiła uchwyt. Kell nad jego ramieniem wskazał palcem drzwi.

– A więc to tak? – oznajmił Gotrek wkraczając do izby i potrząsając głową, by otrzepać śnieg z potężnej kopy ufarbowanych na pomarańczowo włosów. Zadzwoił łańcuch, biegnący od jego nosa do prawego ucha. – Zanim z tobą skończę, będziesz śpiewał cieniutko jak wykastrowany elf. Hef roześmiał się ponownie i odwrócił w stronę Gotreka. Śmiech zamarł mu w gardle, przekształcając się w zduszony kaszel. Zbladł jak trup. Gotrek uśmiechnął się do niego paskudnie odsłaniając szczyrby po zębach. Przeciągnął kciukiem po ostrzu wielkiego topora o dwóch żeleźcach, trzymanego w pięści wielkości szynki. Z przeciętego palca zaczęła kapać krew. Nóż wypadł z grzechotem z ręki Hefa.

– Nie chcemy zwady – powiedział Hef. – W każdym razie nie z Zabójcą Trolli.

Feliks wcale mu się nie dziwił. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty wejść w drogę członkowi tej dobrowolnie szukającej śmierci sekty szalonych wojowników. Gotrek popatrzył na nich z furią i lekko postukał styliskiem topora o podłogę. Feliks, korzystając z tego, że uwaga Kella była odwrócona, postarał się zwiększyć dzielącą go od górali odległość. Hef wyraźnie wpadł w panikę.

– Proszę posłuchać, nie chcemy żadnej zwady Po prostu żartowaliśmy. Gotrek roześmiał się wrednie.

– Podoba mi się wasze poczucie humoru. Chyba sam trochę się zabawie. Zabójca Trolli ruszył w stronę Hefa. Feliks zobaczył, że Lars doszedł do siebie i zaczął czołgać się w stronę drzwi. Gotrek z całej siły postawił but na jego dłoni. Feliks skrzywił się, słysząc towarzyszący temu chrzest. To doprawdy nie była szczęśliwa noc dla Larsa.

– Dokąd się wybierasz? Lepiej zostań ze swoimi przyjaciółmi. Dwóch na jednego to niezbyt uczciwy stosunek sił.

Hef zupełnie się załamał. – Nie zabijaj nas – zaczął błagać.

Kell odsunął się, podchodząc do Feliksa. Gotrek przeszedł w prawo i stanął przed Hefem. Ostrze jego topora oparło się o gardło trapera. Runy na żeleźcu połyskiwały czerwono w świetle pochodni.

Gotrek wolno pokręca głową.

– Co się z wami dzieje? Jest was trzech. Uważaliście, że w przypadku człeczyny trzech na jednego to zupełnie dobry stosunek sił. A teraz strach was obleciał?

Hef skinął sztywno głową i zrobił płaczliwą minę. Patrzył na krasnoluda z

ogromnym, zabobonnym lekiem. Sprawiał wrażenie, że za chwile zemdleje.

Gotrek wskazał drzwi.

– Wynocha – ryknął. – Nie splamię swego topora krwią takich tchórzy jak wy.

Traperzy chyłkiem zaczęli przemykać się w stronę drzwi. Lars paskudnie kulał. Feliks zobaczył, że dziewczyna już wróciła i teraz odsuwa się na bok, żeby ich przepuścić. Zamknęła za nimi drzwi.

Gotrek spojrzął na Feliksa z wściekłością.

– Czy nawet nie mogę się załatwić, żebyś w tym czasie nie wdepnął w jakieś kłopoty?

– Może powinienem cię odprowadzić – powiedział Feliks, przypatrując się dziewczynie z bliska. Była mała i szczupła. Jej twarz wyglądałaby pospolicie, gdyby nie wielkie, ciemne oczy. Otuliła się ściślej płaszczem z grubej sudenlandzkiej wełny i przycisnęła do piersi zawiniątko, które kupiła w faktorii. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Uśmiech przeobraził całkowicie jej bladą, wygłodniałą twarz, sprawił, że stała się piękna.

– Chyba tak, jeżeli nie sprawiłoby ci to kłopotu.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Być może te łotry wciąż jeszcze się tu kręcą.

– Wątpię. Twój przyjaciel chyba zdrowo Ich przestraszył.

– A więc pozwól, że pomogę ci z tymi ziołami.

– Moja pani poleciła mi zdobyć dokładnie takie. Przynoszą ulgę przy odmrożeniach. Będę czuła się pewniej, jeżeli sama je zaniosę.

Feliks wzruszył ramionami. Wyszli na chłód, para buchała kłębam z ich



ust. Szare Góry piętrzyły się jak olbrzymy w nocnym niebie. Światło obu księżyców odbijało się od ich pokrytych śniegiem szczytów, które wyglądały jak wyspy na niebie, płynące nad morzem cieni.

Szli przez nędzne, składające się z lepianek miasteczko otaczające faktorie. Feliks widział światła, słyszał ryk bydła i stłumiony tętent końskich kopyt; Kierowali się w stronę obozowiska, do którego przybywało coraz więcej ludzi.

Wymizerowani żołnierze o zapadniętych policzkach, ubrani w poszarpane tuniki ze znakiem wilka z wyszczerzoną paszczą eskortowali wozy ciągnięte przez chude woły. Przypatrywali się im zmęczeni woźnice w chłopskiej odzieży. Siedzące koło woźniców kobiety były otulone szalami, chusty na ich głowach prawie całkowicie zasłaniały twarze. Niekiedy z tyłu wozów wychylały się dzieci i spoglądały w stronę Feliksa i dziewczyny.

– Co się dzieje? – spytał Feliks. – Zupełnie jakby cała wieś się przeprowadzała.

Dziewczyna popatrzyła na wozy, a potem znowu na niego.

– Jesteśmy ludźmi Gottfrieda von Diehl. Podążamy za nim na wygnanie, do Granicznych Księstw.

Feliks zatrzymał się i popatrzył na drogę ku północy. Nadciągały dalsze wozy, a za nimi piesi maruderzy, ściskający chude sakwy jakby zawierały całe złoto Arabii.

Feliks kręcił głową ze zdziwieniem.

– Musieliście pokonać Przełęcz Czarnego Ognia – powiedział. On i Gotrek przybyli starą drogą krasnoludów pod górami. – A to zbyt późna pora roku na takie przejście. Już nadciągają pierwsze burze śnieżne. Przełęcz jest

otwarta tylko latem.

– Naszemu panu rozkazano opuścić Imperium przed końcem roku. –

Odwróciła się i weszła pomiędzy pierścień wozów ustawionych tak, żeby choć trochę chroniły przed wiatrem. – Wyruszyliśmy we właściwym czasie, ale naszą wędrówkę opóźnił cały łańcuch nieszczęśliwych wypadków. Na samej przełęczy spadła na nas lawina. Straciliśmy wielu ludzi.

Przerwała, jakby wspominając jakieś osobiste nieszczęście.

– Niektórzy powiadają, że to klątwa von Diehlów. Że baron nigdy przed nią nie ucieknie.

Feliks poszedł za nią. Nad ogniskami wisiało kilka kociołków. Był też jeden wielki kocioł, z którego unosiła się para. Dziewczyna skinęła w jego stronę.

– To kocioł mojej pani. Oczekuje na zioła.

– Czy twoja pani jest czarownicą? – zapytał Feliks.

Spojrzała na niego z powagą.

– Nie, panie. Jest czarodziejką z dobrymi referencjami, uczyła się w samym Middenheim. Doradza baronowi w sprawach magii.

Dziewczyna zbliżyła się do stopni dużego wozu mieszkalnego, pokrytego magicznymi znakami i zaczęła wchodzić po schodach. Zatrzymała się z ręką na klamce, potem spojrzała na Feliksa.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek, a potem odwróciła się, żeby otworzyć drzwi. Feliks zatrzymał ją, kładąc delikatnie dłoń na jej ramieniu.

– Chwileczkę – powiedział. – Jak się nazywasz?

– Kirsten – odparła. – A ty?

– Feliks. Feliks Jaegar.

Zanim zniknęła wewnątrz wozu, znowu się do niego uśmiechnęła. Feliks stał lekko oszołomiony i patrzył na zamknięte drzwi. A potem, czując się tak, jakby unosił się w powietrzu, poszedł z powrotem do faktorii.

– Oszalałeś? – wysyczał Gotrek Gumisson. – Chcesz wędrować z jakimś wyklętym baronem i jego obszarpańcami? Czyżbyś zapomniał, po co tu przybyliśmy?

Feliks rozejrzał się sprawdzając czy nikt ich nie obserwuje. Uznał, że to mało prawdopodobne. Siedzieli w najciemniejszym kącie faktorii. Kilku pijaków chrapało, leżąc na wspartych na krzyżakach stołach, a ponure spojrzenie krasnoluda trzymało na dystans przypadkowych ciekawskich. Feliks pochylił się konspiracyjnie do przodu.

– Posłuchaj, to przecież zupełnie rozsądne. Mamy zamiar przejść przez Graniczne Księstwa i oni również. Będzie bezpieczniej, jeżeli pojedziemy razem z nimi.

Gotrek spojrział na niego groźnie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że obawiam się niebezpieczeństw, czekających nas na tej drodze?

Jaegar pokręcił głową.

– Nie. Chcę tylko powiedzieć, że moglibyśmy mieć łatwiejszą podróż i nawet dostać zapłatę za nasze usługi, jeżeli baron zechce zatrudnić nas jako najemników.

Gotrek rozpromienił się słysząc o pieniądzach. Wszystkie krasnoludy są w głębi serca chciwcami, pomyślał Feliks. Gotrek przez chwilę jakby

rozważał tę możliwość, potem jednak pokręcił głową.

– Nie. Jeżeli ten baron został skazany na banicję, jest przestępcą i nie położy ręki na moim złocie. – Pochylił głowę i rozejrzał się wokoło z chytrą paranoiką. – Skarb jest nasz, twój i mój. Oczywiście większa część należy do mnie, bo przede wszystkim to ja walczę.

Feliks miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie było nic zabawniejszego niż krasnolud w napadzie gorączki złota.

– Gotrek, przecież nawet nie wiemy czy w ogóle jest jakiś skarb.

Wszystko, czym dysponujemy, to majaczenia jakiegoś, zgrzybiałego poszukiwacza, który twierdził, że widział zaginiony skarb Karaga Osiem Szczytów. Faragrim przez większość czasu nie mógł sobie przypomnieć jak się nazywa.

– Faragrim był krasnoludem, człeczyno. A krasnolud nigdy nie zapomina widoku złota. Wiesz na czym polega kłopot z wami, ludźmi? Nie macie żadnego szacunku dla starszych. Wśród mego ludu Faragrim traktowany jest z respektem.

– Nic więc dziwnego, że twój lud jest w takich tarapatach – mruknął Feliks.

– Co mówisz?

– Nic. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Dlaczego Faragrim sam nie wrócił po skarb? Miał na to osiemnaście lat.

– Bowiem okazał należną ostrożność w sprawach, finansowych.

– Skąpstwo, chciałeś powiedzieć.

– Myśl jak chcesz, człeczyno. Został okaleczony przez strażnika. I nie mógł znaleźć nikogo komu by zaufał.

– Dlaczego więc powiedział to właśnie tobie?

- Czy uważasz, iż nie jestem godzien zaufania?
- Nie. Przypuszczam, że chciał się ciebie pozbyć, chciał, żebyś się wyniósł z gospody. Sądzę, że wymyślił tę niestworzoną historię o największym skarbie świata strzeżonym przez największego na świecie trolla, bo wiedział, że dasz się na to złapać. Wiedział, że dzięki temu znajdziesz się o sto mil od jego piwnicy z piwem.

Broda Gotreka zjeżyła się i krasnolud warknął z wściekłością.

- Nie jestem aż tak głupi, człeczyno. Faragrim zaprzysiął na brody wszystkich przodków, że to prawda.

Feliks jęknął.

- A czy żaden krasnolud nigdy dotąd nie złamał przysięgi?
- No cóż, to się zdarza, ale bardzo rzadko! – przyznał Gotrek. – Ale w tę wierzę.

Feliks zorientował się, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Gotrek chciał, żeby ta historia była prawdziwa, a więc była prawdziwa. Przypomina zakochanego, pomyślał Feliks, który nie jest w stanie dostrzec niedostatków swojej ukochanej, bo przesłania ją murem własnych złudzeń. Gotrek gładził brodę i patrzył w przestrzeń, pogrążony w marzeniach o strzeżonym przez trolla skarbie. Feliks postanowił zagrać swoją atutową kartą.

- To oznacza, że nie musieliśmy iść pieszo – oznajmił.
- Co? – mruknął Gotrek.
- Jeżeli najmiemy się do barona, będziemy mogli załatwić sobie przejazd wozem. Zawsze skarżyłeś się, że bolą cię stopy. Masz teraz szansę dać im odpocząć. Pomyśl tylko – dodał kusząco. – Zapłacą nam, a ty nie pościerasz sobie stóp.

Gotrek znowu zaczął się zastanawiać.

– Widzę, że nie zaznam spokoju – powiedział – dopóki nie zgodzę się na twój pomysł. Przystaję na to, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Nie wspomnimy o celu naszej wędrówki. Nikomu.

Feliks zgodził się. Gotrek uniósł krzaczastą brew i popatrzył na niego chytrze.

– Nie myśl, człeczyno, że nie wiem dlaczego tak nalegasz na to, żeby podróżować z baronem.

– O co ci chodzi?

– Jesteś zakochany w tej dziewczynie, którą odprowadziłeś, prawda?

– Nie – wykrztusił Feliks. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Gotrek roześmiał się na całe gardło budząc kilku drzemiących pijaczków.

– No to dlaczego zaczerwieniłeś się jak burak, człeczyno? – wrzasnął z triumfem.

Feliks zastukał do drzwi wozu mieszkalnego, w którym, jak mu powiedziano, mógł znaleźć dowódcę oddziałów barona.

– Wejść – usłyszał. Otworzył drzwi i w jego nozdrza uderzył smród niedźwiedziego sadła. Sięgnął do rękojeści miecza.

We wnętrzu wozu tłoczyło się pięciu mężczyzn. Trzech Feliks rozpoznał – byli to traperzy, z którymi zetknął się minionego wieczoru. Oprócz nich był jeszcze bogato odziany młodzieniec zgodnie z obyczajem szlachty zajmującej się rycerskim rzemiosłem oraz wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w ubraniu ze skóry kozłęcia. Był opalony i wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat, mimo szpakowatych włosów. Na plecach miał

kończan ze strzałami o czarnym opierzeniu, a koło jego ręki leżał potężny, długi łuk. Między obydwoma mężczyznami istniało jakieś rodzinne podobieństwo.

– To then skhuhwyhyn – wybełkotał Lars przez wybite zęby.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

Feliks popatrzył na nich bacznie. Szpakowaty mężczyzna przyglądał mu się niedbale oceniającym spojrzeniem.

– A wiec to pan jest owym młodym człowiekiem, który wybił zęby jednemu z moich przewodników – stwierdził.

– Jednemu z pańskich przewodników?

– Tak. Manfred i ja wynajęliśmy ich niedawno, żeby przeprowadzili nas przez niziny, wzdłuż Rzeki Grzmotów.

– Przecież to górale – rzekł Feliks, próbując zyskać na czasie i zastanawiając się jak wielkie kłopoty ściągnął sobie na głowę.

– To traperzy – odparł dobrze ubrany młodzieniec. Mówił z akcentem wykształconego arystokraty. – W poszukiwaniu zwierzyny wędrują i po nizinach.

Feliks rozłożył ręce.

– Nie wiedziałem.

– Czego pan chce? – Spytał Szpakowaty.

– Szukam pracy jako najemny wojownik. Chciałem rozmawiać z dowódcą oddziałów barona.

– To ja – odparł Szpakowaty. – Dieter. A także Wielki Leśniczy, Wielki Łowczy i Sokolnik.

– Dla mojego wuja przyszły dość ciężkie czasy – rzekł młodzieniec.

– A to Manfred, siostrzeniec i dziedzic Gottfrieda von Diehla, barona

Vennlandzkiej Marchii.

– Byłego barona – poprawił go Manfred. – Hrabina Emmanuella uznała za stosowne skazać mego wuja na banicję i skonfiskować nasze dobra nie szukając prawdziwych winowajców.

Zauważył zdziwione spojrzenie Feliksa.

– Różnice religijne, rozumie pan? Moja rodzina przybyła z północy i należy do wyznawców Ulrica. Wszyscy nasi sąsiedzi są południowcami i wojującymi wyznawcami Sigmara. W obecnych czasach nietolerancji był to wystarczający pretekst do zagarnięcia przez nich naszych ziem. A że są oni kuzynami hrabiny Emmanuelli, zostaliśmy skazani na wygnanie za rozpoczęcie wojny.

Feliks pokręcił głową z niesmakiem.

– Imperialne rozgrywki, co?

Dieter wzruszył ramionami. Odwrócił się w stronę górali. – Poczekajcie na zewnątrz – polecił. – Musimy załatwić interes z panem?

– Jestem Jaegar. Feliks Jaegar.

Traperzy przeszli obok niego. Lars, mijając Feliksa, spojrzał na niego wzrokiem pełnym nienawiści. Ich spojrzenia szepiły się na chwile, a potem traperzy zniknęli, zostawiając jedynie wiszący w powietrzu odór niedźwiedziego sadła.

– Boję się, że zrobił pan sobie wroga – rzekł Manfred.

– A ja się nie boję.

– Powinien pan, panie Jaegar. Tacy ludzie są pamiętliwi – stwierdził Dieter. – Powiedział pan, że szuka pracy?

Feliks skinął głową.

– Mój towarzysz i ja...



– Zabójca Trolli?

– Tak. Gotrek Gumisson.

– Jeżeli potrzebujecie pracy, to ją macie. Graniczne Księstwa to niespokojne miejsca i przydadzą ale nam dwaj tacy wojownicy. Niestety, nie możemy wiele zapłacić.

– Stan majątkowy mego wuja jest dość opłakany.

– Potrzebujemy właściwie tylko noclegu, jedzenia i przewozu.

Dieter roześmiał się.

– Dobrze więc się składa. Możecie z nami podróżować, jeżeli chcecie.

Gdy zostaniemy zaatakowani, będziecie musieli się bić.

– Czy zostaliśmy przyjęci?

Dieter podał mu dwie monety.

– Przyjęliście korony barona. Jesteście z nami. – Szpakowaty mężczyzna otworzył drzwi. – A teraz, pan wybaczy, ale musimy zaplanować podróż.

Feliks skłonił się im obu i wyszedł.

– Chwileczkę – rozległ się za nim głos. Odwrócił się i zobaczył Manfreda zeskakującego z wozu i idącego w jego stronę. Młody arystokrata uśmiechał się. – Dieter jest szorstki, ale przywyknij do niego.

– Jestem tego pewien, milordzie.

– Proszę nazywać mnie Manfredem. Jesteśmy na granicy, nie na dworze hrabiny Nuln. Tytuły mają tu niewielkie znaczenie.

– Dobrze, milordzie... Manfredzie.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że ubiegłej nocy uczyniłeś słusznie stając w obronie dziewczyny, nawet jeżeli jest ona tylko służącą czarownicy.

Doceniam to.

– Dziękuję. Czy mogę o coś spytać?

Manfred skinął głową. Feliks odchrząknął.

– Nazwisko Manfreda von Diehl nie jest obce studentom Altdorfu, mego rodzinnego miasta. Jako dramaturga...

Manfred rozpromienił się.

– To ja. Na Ulrica, któż by pomyślał – wykształcony człowiek, tutaj!

Zadam tylko jedno pytanie i będę musiał iść, panie Jaegar. Czy widział pan "Dziwny kwiat"? Czy podobał się panu?

Feliks, zanim odpowiedział, zastanowił się starannie. Sztuka mu się nie podobała. Mówiła o arystokratce, która popada w obłąd dowiedziawszy się, że jest degenerującą się do poziomu zwierzęcia mutantką. W "Dziwnym kwiecie" brak było ciepłego humanizmu, cechującego dzieła największego dramaturga Imperium, Deuefa Siercka. Z drugiej jednak strony sztuka była niezwykle aktualna w tych mrocznych czasach, kiedy ilość mutacji w widoczny sposób wzrastała. Feliks przypomniał sobie, że została ona zakazana przez hrabinę Emmanuelle.

– Robi niezwykle silne wrażenie, Manfredzie. Jest bardzo niepokojąca.

– Niepokojąca, bardzo dobrze! Doprawdy, bardzo dobrze! Musze teraz odwiedzić mego chorego wuja. Mam nadzieję, że jeszcze porozmawiamy, zanim skończymy podróż.

Skłonili się sobie. Arystokrata odwrócił się i odszedł. Feliks patrzył w ślad za nim, nie mogąc pogodzić ze sobą tego sympatycznego, ekscentrycznego młodzieńca i ponurych, nawiedzonych Chaosem obrazów zawartych w jego dziele. W Altdorf, wśród znawców, Manfred von Diehl miał opinie wspaniałego dramaturga i bluźniercy.

Późnym rankiem wygnańcy byli gotowi do wymarszu. Na przedzie

długiego, rzadkiego szeregu Feliks dostrzegł siwowłosego starca o zmęczonym wyglądzie, odzianego w płaszcz z sobolowego futra i dosiadającego czarnego rumaka. Jechał pod trzymanym przez Dietera rozwiniętym sztandarem z wyobrażeniem wilka. Jadący obok Manfred pochylił się, żeby coś powiedzieć staremu człowiekowi. Baron skinął ręką i kolumna jego ludzi ruszyła naprzód. Feliks zadrżał, patrząc na to. Upajał się widokiem rzędu wozów, otoczonych zbrojną eskortą pieszych i konnych. Wspiął się na taborowy wóz, który wraz z Gotrekiem zarekwirowali staremu, zrzedliwemu słudze w liberii barona.

Wokół nich góry piętrzyły się w niebo jak szarzy gigand. Na ich zboczach widniały rozsiane plamki drzew i połyskujące jak żywe srebro strumienie spływające w kierunku źródeł Rzeki Grzmotów. Deszcz ze śniegiem sprawiał, że ostre kontury krajobrazu stawały się bardziej miękkie i nadawał im jakiegoś dzikiego piękna.

– Czas znowu ruszać – wyjęczał Gotrek trzymając się za głowę. Oczy miał zamglone i skacowane. Ruszyli z łomotem i zajęli swoje miejsce w szeregu. Za nimi knechci zarzucili na ramiona swoje kusze, otulili się szczelniej opończami i zaczęli maszerować. Ich przekleństwa mieszały się z klątwami woźniców, strzelaniem z batów i rykiem wołów. Gdzieś z tyłu zapłakało niemowie.

Jakaś kobieta zaczęła śpiewać niskim, melodyjnym głosem. Kwilenie niemowlęcia ucichło. Feliks pochylił się do przodu, próbując dojrzeć Kirsten wśród ludzi brnących przez mokry śnieg w stronę falistych wzgórz, które rozwijały się przed nimi jak mapa.

Prawie namacalnie czuł ogarniający go spokój. Zanurzył się w ten ruch zbiorowiska ludzi jak w rzekę unoszącą go ku jakiemuś ostatecznemu

celowi. Niemal czuł się częścią tej małej, wędrowniej społeczności i było to uczucie, którego dawno nie doświadczał. Uśmiechnął się. Z marzeń wyrwał go wbijający się w żebra łokieć Gotreka.

– Wytrzeszczaj oczy, człeczyno. Te góry, a także ziemie u ich stóp nawiedzane są przez orki i gobliny.

Feliks spojrział na niego wściekle, ale kiedy ponownie popatrzył na okolice, już nie zwracał uwagi na jej dzikie piękno. Wypatrywał dogodnych dla zasadzki miejsc.

Feliks popatrzył za siebie, na góry. Wcale nie żałował, że opuszcza te ponure wyżyny. Kilkakrotnie atakowały ich zielonoskóre gobliny, noszące na tarczach znak purpurowego pazura. Wilcza jazda została odparta, ale zdołała zadać pewne straty. Feliks miał zaczerwienione z niewyspania oczy. Podobnie jak wszyscy wojownicy trzymał podwójne warty, bowiem napastnicy atakowali nocą. Jedyne Gotrek wydawał się być zawiedziony tym, że wilcza jazda nie podejmowała za nimi pościgu.

– Na Grungniego – powiedział. – Skoro Dieter zastrzelił ich wodza, nie zobaczymy ich już więcej. Bez naganiaczy, którzy zagrzewają ich do walki, wszystkie gobliny są tchórzami. Szkoda, nie ma nic lepszego na pobudzenie apetytu niż zarżnięcie paru gobasów przed śniadaniem. To dobre na trawienie.

Feliks popatrzył na niego krzywym okiem. Wskazał kciukiem okryty plandeką wóz, z którego schodziły Kirsten i wysoka kobieta w średnim wieku. Jestem pewien, że ranni w tym wozie dzielają twój pogląd na zalety ćwiczeń fizycznych, Gotrek.

Krasnolud wzruszył ramionami.

– W tym życiu, człeczyno, ludzie niekiedy zostają ranni. Po prostu ciesz się, że to nie była twoja kolej.

Feliks miał już dosyć. Zlazł z kozła wozu i zeskoczył na błotnistą ziemię.

– Nie martw się Gotrek. Mam zamiar być w pobliżu, żeby zakończyć twoją sagę. Przecież nie złamałbym złożonej przysięgi.

Gotrek spojrział na niego, jakby podejrzewając go o ironię. Feliks starał się zachować beznamiętny wyraz twarzy. Krasnolud traktował bardzo poważnie sprawę pisanej przez Feliksa pieśni. Chciał zostać po śmierci bohaterem sagi i dlatego trzymał przy sobie wykształconego Feliksa, żeby mieć pewność, że zostanie ona napisana. Kręcąc głową Feliks podszedł do miejsca, w którym stała Kirsten ze swoją panią.

– Dzień dobry pani Winter, dzień dobry Kirsten.

Obie kobiety spojrzały na niego zmęczonym wzrokiem. Po twarzy czarownicy przebiegł grymas, choć jej osłonięte kapturem, nieruchome jak u węża oczy pozostały obojętne. Poprawiła jedno z tkwiących w jej włosach kruczych piór.

– Cóż w nim dobrego, panie Jaegar? Znowu dwóch ludzi zmarło z ran. Te strzały były zatrute. Na Taala, jakże ja nienawidzę tej wilczej jazdy.

– Gdzie jest doktor Stockhausen? Sądziłem, że powinien pani pomagać. Stara kobieta uśmiechnęła się cynicznie.

– Dogląda obecnie dziedzica barona. Młody Manfred został draśnięty w ramię. Stockhausen pozwoli raczej, żeby umarli dobrzy ludzie, niż by nastąpiła jakakolwiek zwłoka w opatrzaniu małemu Manfredowi tego zadraśnięcia.

Odwróciła się i odeszła. Jej włosy i płaszcz powiewały na wietrze.

– Proszę nie zwracać uwagi na moją panią – rzekła Kirsten. – Panicz

Manfred w jednej ze swoich sztuk ją ośmieszył. Obraziła się na niego. Ale tak naprawdę to dobra kobieta.

Feliks popatrzył na nią, zastanawiając się dlaczego serce tak głośno łomocze mu w piersi, a dłonie są mokre od potu. Przypomniało mu się, co Gotrek powiedział w gospodzie i poczuł, jak twarz pokrywa mu się rumieńcem. Dobrze, przyznał w duchu, Kirsten rzeczywiście jest pociągająca. I co w tym złego? Może to, że nie odwzajemnia jego uczucia. Rozejrzał się wokół, próbując coś wymyśleć i nie mógł znaleźć słów. Nie opodal dzieci bawiły się w żołnierzy.

– Jak się masz? – zapytał wreszcie.

Wyglądała na zmęczoną.

– Doskonale. Bałam się ubiegłej nocy, kiedy wokoło wyły wilki i padały strzały, ale teraz... Cóż, w dzień wszystko to wydaje się tak nierealne.

Z wozu za nimi dobiegły jęki cierpiącego człowieka. Na chwilę obróciła się i spojrzała w tamtą stronę. Jej twarz nagle zamarła jak maska.

– To niezbyt przyjemne pracować z rannymi – stwierdził Feliks.

– Można się do tego przyzwyczaić – wzruszyła ramionami. Taki wyraz twarzy u kobiety w jej wieku przejął Feliksa dreszczem. Był to grymas, jaki zdarzało mu się widzieć u najemników, ludzi, których rzemiosłem jest śmierć. Rozglądając się, widział dzieci bawiące się niedaleko wozu z rannymi. Jedno dziecko strzeliło z wyimaginowanej kuszy, a drugie zachrypiało, schwyciło się za pierś i upadło. Feliks czuł się samotny i tęsknił za domem. Wydawało mu się, że bezpieczny żywot poety i uczonego, jaki wiódł w Imperium był udziałem kogoś innego, bardzo dawno temu. Prawo i porządek, które zawsze uważał za coś oczywistego, pozostały z tyłu, za Szarymi Górami.

– Życie jest tu tanie, prawda? – powiedział.

Kirsten spojrzała na niego i twarz jej złagodniała. Ujęła go za rękę.

– Chodź, pójdziemy tam, gdzie powietrze jest czystsze – powiedziała.

Za nimi krzyki bawiących się dzieci mieszały się z jękami umierających ludzi.

Feliks zobaczył miasto, gdy wyłonili się spomiędzy wzgórz. Było późne popołudnie. Z lewej strony, na wschodzie mógł dostrzec zakręt bystrej Rzeki Grzmotów, a za nią potężne szczyty Gór Krawędzi Świata. Na południu posępnie ciągnął się w dal kolejny łańcuch wzgórz. Były one nagie i groźne, i coś w ich wyglądzie przyprawiło Feliksa o dreszcz.

W dolinie pomiędzy dwoma łańcuchami wzgórz gnieździło się niewielkie, otoczone murami miasteczko. Przez miejską bramę pędzono białe punkciki, zapewne owce. Feliksowi wydawało się, że zobaczył kilka postaci na murach, z tej odległości nie mógł być tego pewien.

Dieter skinął na niego, aby się zbliżył. – Umiesz, się ładnie wysławiać – powiedział. – Pojedź tam i ułóż się z nimi. Powiedz tym ludziom, że nie chcemy uczynić im krzywdy.

Feliks tylko spojrzał na wysokiego, ponurego mężczyznę. Chodzi mu o to, pomyślał Feliks, że można mnie spisać na straty, jeżeli ci ludzie okażą się nieprzyjaźnie nastawieni. Przez chwile zastanawiał się, czy nie posłać go do diabła. Dieter musiał odgadnąć jego myśli.

– Przyjąłeś koronę barona – powiedział.

To prawda, przyznał w myśli Feliks. Wyobraził sobie również gorącą kąpiel i popijawę w prawdziwej karczmie, sen pod dachem – wszystkie rozkosze, jakich mogło dostarczyć nawet najbardziej prymitywne

przygraniczne miasteczko. Perspektywa była kusząca.

– Dajcie mi konia – rzekł – i białą flagę.

Gdy wspinał się na narowistego, bojowego rumaka starał się nie myśleć o tym, co podejrzliwi uzbrojeni w łuki ludzie mogą zrobić z posłańcem potencjalnego wroga.

Bełt wypuszczony z kuszy syknął w powietrzu i wbił się w ziemię tuż przed kopytami rumaka. Feliks z trudem opanował stającego dęba konia. W takich jak ten przypadkach był szczęśliwy, że jego ojciec nalegał, żeby jazda konna stanowiła cześć wykształcenia zamożnego młodego szlachcica.

– Nie podjeżdżaj bliżej, przybyszu, bo nie zważając na białą flagę każę naszpikować cię strzałami. – Głos był ochryply, ale mocny. Jego właściciel najwidoczniej przywykł do wydawania rozkazów i do tego, by były one wykonywane.

– Jestem heroldem Gottfrieda von Diehla, barona Vennlandzkich Marchii. Nie mamy złych zamiarów. Szukamy jedynie schronienia przed niepogodą i możliwości odnowienia naszych zapasów.

– Cóż, tutaj tego nie znajdziecie! Powiedz swojemu baronowi, że jeżeli jest tak pokojowo nastrojony, to niech sobie idzie dalej. Wolne miasto Akendorf nie chce mieć nic wspólnego ze szlachtą.

Feliks przyjrzał się człowiekowi, który wołał do niego z wieży nadbramnej. Widoczna pod metalowym szturmakiem twarz była inteligentna i wrażliwa. Po obu jego stronach stali mężczyźni, których kusze wciąż były skierowane na Feliksa. Feliks czuł jak wysycha mu w ustach, a po plecach spływa lepki pot. Miał na sobie kolczugę, ale wątpił



czy wiele mu ona pomoże przeciwko beltom wystrzelonym z tak niewielkiej odległości.

– Panie, zaklinam cię w imię Sigmara, prosimy jedynie o zwykłą gościnę...

– Zbieraj się stąd chłopcze, nie uzyskacie gościny w Akendorfie ani w żadnym mieście tej krainy. Zwłaszcza podróżując z dwudziestoma rycerzami i pięćdziesięcioma knechtami.

Feliks zastanawiał się, jak dobrymi zwiadowcami musi dysponować wolne miasto Akendorf, skoro tak dokładnie zna liczebność ich sił. Domyślił się, jak wygląda sytuacja na tych ziemiach. Wojsko barona było zbyt silne, aby jakikolwiek miejscowy przywódca zechciał otworzyć przed nim bramy swojego miasta. Mogłoby się ono stać zagrożeniem jego pozycji. Feliks wątpił jednak czy wojsko barona było wystarczająco silne, aby zdobyć siłą otoczone murami i bronione przez zdecydowanych na wszystko mieszkańców miasto.

– Mamy rannych – zawołał. – Czy przynajmniej pozwolicie im zostać? Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że mężczyźni na wieży jest przykro.

– Nie. To wy sprowadziliście tutaj te dodatkowe gęby. I wy musicie je wyżywić.

– Proszę w imię Shallayi, bogini litości, musicie im pomóc.

– Nic nie muszę, heroldzie. Ja tu władam, nie twój baron. Powiedz mu, żeby kierował się wzdłuż Rzeki Grzmotów na południe. Na Taala, jest tam dość bezpiecznych miejsc. Niech oczyści sobie ziemię, albo zajmie któryś z opuszczonych zamków.

Feliks z rozpaczą w sercu zawrócił konia. Czuł broń wymierzoną w swoje plecy.

– Heroldzie! – zawołał władca Akendorfu.

Feliks odwrócił się w siodle, by spojrzeć na niego. W gasnącym świetle dnia ujrzał na twarzy mężczyzny troskę.

– Co?

– Powiedz baronowi, żeby pod żadnym pozorem nie zapuszczał się między wzgórza na południe. Powiedz mu, żeby trzymał się Rzeki Grzmotów. Nie chciałbym mieć na swoim sumieniu tego, że złądził między wzgórza Geistenmund bez ostrzeżenia.

Coś w głosie mężczyzny sprawiło, że Feliksowi włosy z jeżyły się na karku.

– Te wzgórza są nawiedzone, heroldzie i przez wzgląd na swą nieśmiertelną duszę żaden człowiek nie powinien ważyć się między nie wchodzić.

– Nie wpuszczą nas za bramy. To proste – podsumował Feliks patrząc na twarze wokół ognia. Baron lekkim ruchem lewej ręki pozwolił mu usiąść, a potem zwrócił zażawione oczy w stronę Dietera.

– Nie jesteśmy w stanie zdobyć Akendorfu, a jeśli nawet nam się to uda, poniesiemy wielkie straty. Nie jestem specjalistą od oblężeń, ale nawet ja zdaje sobie z tego sprawę – rzekł szpakowaty mężczyzna. Pochylił się i dołożył nową gałąź do ognia. W zimne, nocne powietrze wzbily się iskry.

– Chcesz powiedzieć, że musimy iść dalej – stwierdził baron.

Mówił słabym głosem, który przypominał Feliksowi szelest suchych liści. Dieter skinął głową.

– Może powinniśmy skierować się na zachód? – powiedział Manfred. – Tam poszukiwać ziemi. W ten sposób ominiemy wzgórza, zakładając oczywiście, że jest tam coś, czego powinniśmy się obawiać.

– Jest – potwierdził Hef.

W wiśniowym poblasku ognia widać było, że jego twarz jest blada i spięta.

– Ale podróż na zachód również jest głupim pomysłem – rzekła pani Winter.

– O, a to dlaczego? – zapytał.

– Rusz głową, chłopcze. Góry na wschodzie od chwili secesji królestwa krasnoludów są gniazdem goblinów. A więc najmniej narażone na najazdy, a przez to najlepsze, będą ziemie położone najdalej od Rzeki Grzmotów. I władają nimi najsilniejsi miejscowi władcy. Każda miejscowość na zachód stąd będzie o wiele lepiej broniona niż Akendorf.

– Znam geografie – parsknął Manfred. Rozejrzał się wokół ogniska, wpatrując się w oczy siedzących. – Ale jeśli będziemy szli dalej na południe, dojdziemy do Rzeki Krwi, gdzie gobliny i wilki są liczniejsze niż robaki w trupie.

– W każdym kierunku czyha niebezpieczeństwo – wysapał baron. Spojrzał na Feliksa przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu. – Czy nie sądzisz, że władca Akendorfu radził nam, żebyśmy trzymali się rzeki tylko po to, byśmy stali się kuszącym celem dla zielonoskórych?

Feliks myślał przez chwile, próbując sformułować opinie. Jakim cudem mogą oczekiwać od niego, że na podstawie kilkuminutowej rozmowy będzie w stanie ustalić czy ten człowiek kłamie, czy nie? Feliks był w pełni świadom, że od tego, co powie, zależy los każdego człowieka w tej karawanie. Po raz pierwszy w życiu niejasno uświadomił sobie na czym polega odpowiedzialność przywódcy. Nabrał głęboko powietrza w płuca.

– Ten człowiek sprawiał wrażenie szczerego, panie baronie.

– Mówił prawdę – rzekł Hef ubijając w fajce nieco ziela. Feliks zauważył,

jak palce trapera biegają nerwowo po cybuchu. Hef, zanim zaczął mówić dalej, pochyłu się, wyjął z ognia płonąca gałązkę i przypału fajkę. – Wzgórza Geistenmund są złym miejscem. Ludzie powiadają, że przed wiekami przybyli tam z Bretonni magowie, czarnoksiężnicy wygnani przez Króla Słońce. Znaleźli kurhany ludu, który żył tu w Dawnych Czasach i przy pomocy swych zaklęć wystawili z ożywionych zmarłych armie. Nieomal udało im się podbić całe Graniczne Księstwa, nim miejscowi władcy zawarli przymierze z krasnoludami z gór i odrzucili ich z powrotem.

Feliks poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Przewyciężył chęć spojrzenia przez ramie za siebie, w mrok.

– Ludzie powiadają, że czarnoksiężnicy wraz ze swoimi sojusznikami wycofali się do kurhanów. Zostali tam zamknięci przez zwycięzców kamieniarską robotą krasnoludów i potężnymi runami.

– Ale to było wieki temu – rzekła pani Winter. – I choć ich magia była potężna, to czy przetrwali do tej pory?

– Nie wiem, pani. Ale rabusie grobów nigdy nie wracają ze wzgórz Geistenmund. Niekiedy nocą widziano na wzgórzach niezwykle światła, a kiedy oba księżyce stoją w pełni, zmarli są niespokojni w swoich grobach. Przychodzą, żeby porywać ludzi i ich krwią podtrzymywać życie swoich panów.

– Zapewniam, że to bzdura – powiedział doktor Stockhausen.

Feliks wcale nie był o tym przekonany. W ubiegłym roku w Geheimnisnacht widział straszne rzeczy. Odsunął od siebie te wspomnienia.

– Jeżeli pójdziemy na zachód, niechybnie staniemy w obliczu

niebezpieczeństwa, bez żadnej pewności czy znajdziemy tam bezpieczną przystań – rzekł baron. Jego podświetlona ogniem twarz była wychudła i kanciasta. – Na południu być może znajdziemy wolne ziemie, choć mogą one być strzeżone przez władających magią wrogów. Ale równie dobrze mogą być bezpieczne. Sądzę, że powinniśmy podjąć drogę na południe. Podążymy z biegiem Rzeki Grzmotów.

W jego głosie nie było szczególnej nadziei. Mówił jak człowiek, który już pożegnał się z życiem. Czyżby baron wyzywał śmierć, zastanawiał się Feliks? W atmosferze, jaką stworzyła ponura opowieść trapera Feliks nieomal, mógłby w to uwierzyć. Zanotował w pamięci, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o przekleństwie von Diehla. I nagle spostrzegł twarz Manfreda. Młody arystokrata patrzył w ogień jak w ekstazie i na jego obliczu malowało się niemal uniesienie.

– Mam wrażenie, że znalazłem inspiracje do nowej sztuki – oznajmił z entuzjazmem Manfred von Diehl. – Ta rozkoszna historia, którą opowiedział nam ubiegłej nocy traper, będzie jej jądrem.

Feliks spojrzał na niego z powątpiewaniem. Szli wzdłuż zachodniej flanki karawany, trzymając się między wozami a złowieszczymi, nagimi wzgórzami.

– Może to coś więcej niż zwykła opowieść trapera, Manfredzie. W wielu starych legendach jest nieco prawdy.

– Właśnie! Właśnie! Któż mógłby wiedzieć to lepiej niż ja? Chyba nazwę tę sztukę "Tam, gdzie chodzą umarli". Pomyśl tylko: srebrne pierścienie pobrzękujące na kościstych palcach, pergaminowa skóra niespokojnych martwych połyskująca w upiornym świetle. Wyobraź sobie leżącego w

majestacie, nietkniętego przez robaki króla, który powstaje co roku, aby znaleźć krew i dzięki niej przedłużyć swoje widmowe panowanie.

Patrząc na te ponure, osmagane wiatrem wzgórza Feliks z łatwością coś takiego mógł sobie wyobrazić. Spośród czterystu osób podążających wraz z baronem, tylko troje ludzi ośmieliło się wejść między wzgórza. W ciągu dnia doktor Stockhausen i pani Winter szukali ziół między pokrytymi mchem głazami, leżącymi na piarzystym zboczu. Niekiedy, wracając późno, spotykali Gotreka Gurnissona. Zabójca Trolli wędrował nocami po zboczach wzgórz jakby wyzywając siły ciemności.

– Pomyśl – powiedział Manfred konspiracyjnym szeptem. – Pomyśl o tym, że śpisz w swoim łóżku i nagle ciche kroki zbliżających się stóp i żadnego oddechu poza twoim własnym... Leżysz, słysząc uderzenia swojego serca i wiesz, że w piersi zbliżającego się żadne serce nie bije...

– Tak – oznajmił Feliks. – Jestem pewien, że to będzie wspaniała sztuka. Kiedy skończysz, będziesz musiał dać mi ją do przeczytania.

Postanowił zmienić temat i próbował wymyśleć coś, co zainteresowałoby tego dziwnego młodego człowieka. – Ja mam zamiar napisać poemat. Czy mógłbyś mi powiedzieć coś więcej o kłatwie von Diehlów?

Twarz Manfreda zamarła w bezruchu. Błysk jego oczu sprawił, że Feliks zadrżał. Potem jednak Manfred potrząsnął głową, uśmiechnął się i stał się jak dawniej przyjazny i sympatyczny.

– Doprawdy niewiele jest tu do opowiadania. – Zachichotał cicho. – Mój dziad był niezwykle pobożnym człowiekiem. Żeby tego dowieść, ciągle palił na stosie wiedźmy i mutantów. Pewnej Hexensnacht usmażył ładną dziewczuszkę, która nazywała się Irina Task. Wszyscy jego poddani przyszli to oglądać, była bowiem prawdziwą pięknoscią. Gdy płomień wzbił się

wokół niej, wezwała siły piekielne, aby ją pomściły, sprowadziły śmierć na mego dziada i gniew Chaosu na jego spadkobierców, następców i całe ich potomstwo. Mrok i jego dzieci pochłonie was wszystkich, rzekła.

Umilkł i spojrzał posepnie w stronę wzgórz.

– I co się stało? – ponaglił go Feliks.

– Wkrótce mój dziad został zabity na polowaniu przez sforę zwierzoczątek. Potem wybuchła kłótnia między jego synami. Starszy, Kurt, był dziedzicem. Ale mój ojciec i jego brat zbuntowali się i wygnali go. Niektórzy powiadali, że Kurt został bandytą i zginął z ręki wojownika Chaosu. Inni twierdzą, że skierował się na północ i tam spotkał go o wiele gorszy los. Mój ojciec odziedziczył baronię i ożenił się z moją matką, Kateriną von Wittgensteln.

Feliks wytrzeszczył oczy. Wittgensteinowie byli rodem o ponurej reputacji, którego ludzie z normalnego towarzystwa starali się unikać.

Manfred zignorował jego spojrzenie.

– Wuj Gottfried stał się głową rodu. Moja matka zmarła wydając mnie na światło, ojciec zaś zniknął. Gottfried przejął władzę. Od tej chwili zaczął prześladować nas pech.

Feliks dostrzegł postać schodzącą w dół zbocza. Była to pani Winter.

Bardzo się spieszyła.

– Zniknął? – rzekł Feliks z roztargnieniem.

– Tak, zniknął. Dopiero dużo później dowiedziałem się, co się z nim stało. Pani Winter podeszła bliżej. Wymieniła z Manfredem nieprzyjazne spojrzenia.

– Złe wieści – rzekła. – Wyżej na zboczu odkryłam otwór. Jest zamknięty runami, ale wyczuwam kryjące się za nim straszliwe niebezpieczeństwo.

Jej głos brzmiał przekonująco. Podążyła w dół, do obozu. Manfred z wściekłością popatrzył za nią.

– Nie lubicie się nawzajem, prawda? – Feliks spojrzał na niego pytająco.

– Nienawidzi mnie, nienawidzi od chwili, gdy wuj wyznaczył mnie na swojego dziedzica. Uważa, że to jej syn powinien zostać następnym baronem.

Feliks uniósł brew.

– Ach tak, ty przecież nie wiesz! Dieter jest jej synem. To potomek mego ojca z nieprawego łoża.

Światło księżyca drgało plamami na wodach Rzeki Grzmotów.

Połyskiwało jak płynne srebro. W tym miejscu stare, rosochate drzewa pochylały się nad brzegami, sprawiając na Feliksie wrażenie oczekujących trolli. Rozejrzał się wokół nerwowo. Jest dziś coś w powietrzu, pomyślał – napięcie, uczucie, że coś jest nie tak.

Musiał przezwyciężyć wrażenie, że gdzieś porusza się coś złego, coś głodnego życia, żywotów wszystkich ludzi z otoczenia barona Gottfrieda!

– Czy coś jest nie w porządku, Feliksie? Dzisiejszej nocy wydajesz się bardzo roztargniony – rzekła Kirsten.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Jej obecność sprawiała mu przyjemność. Zazwyczaj lubił te ich nocne spacerunki nad rzeką, ale dziś na przeszkodzie stanęło to złe przeczucie.

– Nie, tylko zmęczony. – Nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem w stronę położonych nieopodal wzgórz. W świetle księżyców otwór bardzo przypominał rozwartą paszczę.

– To właśnie jest to miejsce, prawda? Jest w nim coś nienaturalnego.



Wyczuwam to. Zupełnie jak wtedy, kiedy pani Winter rzuca jedno ze swych niebezpiecznych zaklęć. Włosy stają mi dęba. Ale tu jest o wiele gorzej.

Feliks zobaczył na jej twarzy przerażenie, które jednak po chwili zniknęło. Spojrzała na rzekę.

– Coś starego i złego gnieździ się pod tymi wzgórzami, Feliksie. Coś głodnego. Możemy tu zginąć.

Feliks ujął ją za rękę.

– Jesteśmy zupełnie bezpieczni. Wciąż znajdujemy się nad rzeką.

Jego głos drżał i wcale nie brzmiał zbyt pewnie. Przypominał raczej głos przestraszonego chłopca. Oboje dygotali.

– Wszyscy w obozie się boją, z wyjątkiem twego przyjaciela Gotreka. Dlaczego jest on tak nieustraszony?

Feliks roześmiał się cicho.

– Gotrek jest Zabójcą Trolli. Zaprzysiągł szukać śmierci, aby w ten sposób odpokutować jakąś swoją zbrodnię. Jest wygnańcem bez domu, rodziny czy przyjaciół. Nie ma swego miejsca na tym świecie. Jest dzielny, bowiem nie ma nic do stracenia. Może odzyskać swój honor jedynie ginąc zaszczytną śmiercią.

– Dlaczego mu towarzyszysz? Sprawiasz wrażenie rozsądnego człowieka. Zanim odpowiedział, zastanowił się starannie. Nigdy w tak bezpośredni sposób nie pytano go o motywy postępowania. Czując na sobie spojrzenie ciemnych oczu Kirsten, zapragnął by wiedziała wszystko.

– Ocalił mi życie. Zaprzysięgliśmy wtedy braterstwo krwi. Nie wiedziałem wtedy, jakie znaczenie ma ten obrządek, ale mimo to pozostałem mu wierny.

To były najbardziej podstawowe fakty – prawda, ale nie wyjaśnienie.

Umilkł i pogłaskał starą bliznę na prawym policzku. Chciał być wobec niej uczciwy.

– Zabiłem w pojedynku człowieka. Wywołało to skandal. Musiałem porzucić studia, ojciec mnie wydziedziczył. Byłem pełen gniewu, miałem kłopoty z prawem. Gdy spotkałem Gotreka, nie miałem celu w życiu. Błąkałem się. Determinacja krasnoluda była tak silna, że pociągnął mnie za sobą. Łatwiej mi było mu towarzyszyć, niż rozpocząć życie od nowa. Coś w jego szaleńczym instynkcie samozniszczenia mnie fascynowało. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Ale już nie fascynuje?

Pokręcił głową.

– A ty? Co sprowadziło cię nad Rzekę Grzmotów?

Zbliżyli się do powalonego drzewa. Feliks pomógł Kirsten usiąść na pniu, a potem sam wskoczył obok niej. Wygładziła fałdy długiej, chłopskiej spódnicy, zasunęła za ucho kosmyk włosów. Feliks pomyślał, że wygląda bardzo pięknie w świetle księżyca, w zaczynającej się podnosić mgłę.

– Moi rodzice byli poddanymi barona Gottfrieda, chłopami pańszczyźnianymi z Diehlendorfu. Oddali mnie do terminu do pani Winter. Zginęli pod lawiną, razem z moimi siostrami.

– Bardzo mi przykro – powiedział Feliks. – Nie wiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

– Tyle było śmierci po drodze. Jestem wdzięczna, że dotarłam aż tutaj. Milczała przez chwile, a gdy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał łagodnie:

– Brakuje mi ich.

Żadne słowa nie przychodziły Feliksowi do głowy więc milczał.

– Wiesz, moja babka przez całe życie nie podróżowała dalej niż mile od Diehlendorfu. Nigdy nie widziała wnętrza starego, ponurego zamku. Znała jedynie swoją chatę i skrawki pól, na których pracowała. Ja natomiast widziałam góry, miasta i tę rzekę. Dotarłam tak daleko, jak jej nawet się nie śniło. Na swój sposób jestem zadowolona.

Feliks spojrzał na nią. Zobaczył łzy błyszczące na jej zacienionym policzku. Twarze ich były bardzo blisko siebie. Za jej plecami z powierzchni rzeki mackami unosiła się mgła. Gęstniała tak szybko, że ledwie mógł dostrzec wodę. Kirsten przysunęła się bliżej.

– Gdybym nie pojechała, nie spotkałabym ciebie. Pocałowali się – niezręcznie, jakby badawczo. Wargi ledwo dotykały warg. Feliks pochylił się i ujął w dłonie jej długie włosy. Przysunęli się do siebie, obejmując z całej siły, a ich pocałunki stawały się coraz mocniejsze. Ich dłonie zaczęły błędzić gorączkowo, badając ciała ukryte pod grubą warstwą odzieży. Przechylili się za bardzo. Kirsten krzyknęła lekko, gdy spadali z pnia drzewa na miękką, moką ziemię.

– Mój płaszcz jest cały w błocie – powiedział Feliks.

– Może będzie lepiej, jeżeli go zdejmiesz. Położymy się na nim. Ziemia jest zupełnie mokra.

Kochali się pod cieniem tych grobowych wzgórz, we mgle i świetle księżyca.

– Gdzieżeś był, człeczyno i dlaczego masz taką zadowoloną minę? – spytał cierpko Gotrek.

– Nad rzeką – odparł Feliks niewinnie. – Spacerowałem.

Gotrek uniósł krzaczastą brew.

– Wybrałeś sobie złą noc na spacer. Zobacz jak gęstnieje mgła.

Podejrzewam w tym magię.

Feliks spojrzał na niego, czując przenikający aż do kości strach. Jego dłoń spoczęła na rękojeści miecza. Przypomniał sobie mgłę, która pokrywała moczary wokół Kręgu Czarnego Kamienia i co się pod nią kryło. Spojrzał przez ramie w mrok.

– Jeżeli to prawda, powinniśmy uprzedzić Dietera i barona.

– Już poinformowałem giermka barona. Podwojono straż. To wszystko, co mogli uczynić.

– A co my zrobimy?

– Prześpij się trochę, człeczyno. Wkrótce twoja warta.

Feliks położył się w tyle wozu na jakichś workach z ziarnem. Otulił się mocno płaszczem. Choć bardzo chciał zasnąć, sen nie przychodził. Wciąż myślał o Kirsten. Gdy popatrzył na Morr sieib, mniejszy księżyc, wydawało mu się, że dostrzega tam zarys jej twarzy. Mgła gęstniała coraz bardziej, tłumiąc wszystkie dźwięki z wyjątkiem cichego oddechu Gotreka.

Gdy wreszcie zasnął, śniły mu się ponure sny, w których chodzili umarli.

W dali zarżał niespokojnie koń. Potężna ręka zakryła Feliksowi usta.

Zaczął walczyć wściekle, zastanawiając się, czy to może Lars przyszedł, by dokonać zemsty.

– Sza, człeczyno! Coś nadchodzi. Bądź cicho.

Feliks przebudził się całkowicie. Oczy piekły go ze zmęczenia, mięśnie miał obolałe od leżenia na workach. Czuł się znużony i wyczerpany z sił.

– Co się dzieje, Gotrek? – spytał cicho.

Zabójca Trolli uciszył go gestem i wciągnął nosem powietrze.

– Cokolwiek to jest, od dawna nie żyje.

Feliks zadrżał i otulił się płaszczem. Czuł jak lęk ściska mu wnętrzności.

Gdy znaczenie słów krasnoluda doszło do jego świadomości, musiał wyteńczyć wszystkie siły, by móc opanować przerażenie.

Feliks wpatrzył się we mgłę. Otulała okolice, ograniczając widoczność na długość włóczni. Gdyby wyteńczył wzrok, mógłby dostrzec zaledwie sąsiedni wóz. Rzucił spojrzenie przez ramię, obawiając się, że jakiś przerażający mieszkaniec mroków może zakraść się od tyłu.

Uderzenia serca dudniły mu głośno w uszach. Przypomniawszy sobie w tej chwili słowa Manfreda. Wyobraził sobie kościstą rękę wyciągającą się, by go pochwycić i wciągnąć w głęboki, ciemny grób. Czuł się tak, jakby mięśnie ściały mu móżdżek. Musiał się przełamać, aby zmusić je do działania, do sięgnięcia po rękojeść miecza.

– Pójdę się rozejrzeć – szepnął Gotrek.

I zanim Feliks zdołał zaprotestować, albo przyłączyć się do niego, krasnolud bezszelestnie zeskoczył z wozu i zniknął we mgłę.

Feliks poczuł się bardzo samotny. Przypominało to obudzenie się ze straszego snu po to, żeby znaleźć się w jeszcze gorszym koszmarze rzeczywistości. Był osamotniony w ciemności i lepkiej mgłę. Czuł, że tuż za granicą jego wzroku czai się w mroku głodna, niesamowita Istota.

Podpowiadał mu to jakiś pierwotny zmysł. Wiedział, że jeżeli ruszy się z wozu, będzie zgubiony.

Ale tam, w wozie pani Winter spała Kirsten. Wyobraził sobie, jak leży w łóżku, podczas gdy coś napiera na drzwi i deski powoli zaczynają wyginać

się do środka, ukazując...

Zeskoczył z wozu, wyciągając miecz. Odgłos lądowania, chociaż cichy, dla jego wyostrzonego przez strach słuchu zabrzmiał jak dźwięk dzwonu. Przechodząc przez wewnętrzny krąg wozów do miejsca, w którym znajdowała się Kirsten wytężał wzrok, starając się dostrzec we mgle jakieś szczegóły.

Każdy krok zdawał się trwać wieczność. Rzucił ostrożne spojrzenia we wszystkie strony, obawiając się, że coś skrada się tuż za nim. Wymijał plamy głębokiego mroku. Chciał krzyknąć głośno, aby ostrzec obóz, ale coś go przed tym powstrzymywało. Jeżeli to zrobi, zwróci na siebie uwagę straszliwych obserwatorów – a to będzie oznaczało śmierć.

Jakaś postać wyłoniła się z mroku i Feliks uniósł miecz. Czuł, że serce podeszło mu do gardła. Uspokoił się dopiero, gdy zauważył, że postać ma na sobie skórzany kaftan i metalowy kaplin. Strażnik, pomyślał z ulgą. Dzięki Sigmarowi! Gdy jednak postać odwróciła się, Feliks nieomal wrzasnął.

Na jej twarzy nie było ciała. Zielonkawe światło migotało w pustych oczodołach. Spróchniałe zęby szczyrzyły się spomiędzy bezcielesnych, bezwargich ust. Spozregł, że hełm, który początkowo wziął za kaplin strażnika był wykonany z pozieleniałego brązu i pokryty runami, od których bolały oczy. Od tuniki i postrzępionego płaszcza tego czegoś dolatywał smród pleśni i gnijącej skóry.

Potwór ciał go zardzewiałym mieczem. Feliks stał przez chwile jak wmurowany, ale działając zupełnie instynktownie zrobił gwałtowny unik. Miecz drasnął go po żebrach. Poczul palący ból. Dostrzegł ruch starych ścięgien pod cienką jak papier skórą trzymającej broń dłoni. Odpowiedział

ciosem zadany od góry, w kark. Jego dało reagowało wyszkolonymi ruchami nawet wtedy, gdy umysł paraliżowało przerażenie.

Klinga miecza wbiła się w kark istoty z trzaskiem łamanych kręgów. Drugi cios przedał klatkę piersiową jak topór rzeźnika. Szkielet-wojownik padł jak marionetka, której przecięto sznurki.

Noc ożyła mrocznymi postaciami zupełnie jakby cios Feliksa stał się sygnałem. Usłyszał trzask pękającego drewna i kwiczenie przerażonych zwierząt. Wyglądało to tak, jakby nagle prysnął czar, który je oniemił.

Gdzieś w ciemnościach Gotrek ryczał swą bojową pieśń.

Feliks popędził przez mgłę i niemal zderzył się z wyskakującym z wozu Dieterem. Potężny mężczyzna był całkowicie ubrany i trzymał w ręku topór bojowy.

– Co się dzieje? – zawołał, przekrzykując kakofonię wrzasków.

– Napastnicy, martwi spod wzgórz – odparł Feliks, spazmatycznie wykrztuszając słowa.

– Napadł – krzyknął Dieter. – Do mnie, ludzie! Zbierać się wokół mnie!

Wydał okrzyk bojowy, przypominający wycie wilka. Z paru miejsc dobiegły słabe odpowiedzi. Feliks popędził dalej, szukając wozu Kirsten. Z zacienionej luki między dwoma wozami wyskoczyły jakieś postacie, atakując go długimi, zakrzywionymi szablami.

Zrobił unik przed pierwszym ciosem i sparował drugi. Szczyrzyły na niego zęby dwa szkielety. Płatnął jednego w nogę. Szkielet upadł gdy ostrze przecięło mu kolano. Feliks walczył prawie mechanicznie z umysłem odrętwiałym z przerażenia. Przeskoczył nad ciosem zadany mu przez leżącego na ziemi kościotrupa, a potem złamał mu obcasem kręgosłup. Z drugim walczył, aż pociął go na kawałki.

Zobaczył, że dwaj inni, jak się tego obawiał, usiłują wyłamać drzwi wozu pani Winter. Z wnętrza dobiegł go przypominający modlitwę zaśpiew. Przygotował się do rozpoczęcia ataku, ale nagle jego oczy oślepił błękitny ogień. Zapłonęły błyskawice i przepełniający powietrze zapach ozonu przytłumił nawet smród zgnilizny. Gdy Feliks odzyskał wzrok, zobaczył zwęglone szczątki dwóch szkieletów leżące obok prowadzących do wozu schodków.

Pani Winter stała w drzwiach spokojna i bez lęku, z jej lewej ręki unosił się świetlisty nimb. Spojrzała na niego i skinęła głową jakby dodając mu otuchy.

Za nią stała Kirsten, która wskazywała coś za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył tuzin martwych wojowników, pędzących w jego kierunku. Usłyszał, jak Dieter ze swoimi ludźmi biegnie im na spotkanie. Potem przyłączył się do walczących.

Dla Feliksa ta noc stała się pełnym wycia chaosem, w którym wyrąbywał sobie drogę wokół obozu szukając Gotreka.

W jednym miejscu mgła zniknęła i wtedy wepchnął kilkoro drżących dzieci pod wóz, oderwawszy je od ciał martwych rodziców. Mężczyzna leżał w nocnej koszuli, a kobieta tuż przy nim, ściskając w ręku trzonek miotły jak włócznię. Feliks usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się, by stawić czoła szkieletowi giganta, który runął na niego. Jakoś udało mu się wyjść cało.

Potem walczył oparty plecami o plecy Dietera, aż wreszcie stali pośrodku stosu zbutwiałych kości. Bitwa oddaliła się od niego, gdy mgła ponownie zgęstniała i przez długą chwilę był sam słuchając tylko wrzasków ginących.



Przebiegająca obok postać rzuciła się w jego kierunku z mieczem i zaczęli wymieniać uderzenia. Feliks spostrzegł, że jest to Lars z zastygłym na twarzy uśmiechem obnażającym brakujący ząb. Jak szaleniec nacierał na Feliksa. Ten człowiek był oszalały ze strachu.

– Skuhwyhynu! – wysyczał zadając cios, który mógłby powalić drzewo. Feliks pochylił się, schodząc z linii uderzenia i wypadem w przód pchnął go prosto w serce. Lars zaszlochał, umierając. Feliks zastanawiał się przez chwilę do jakiego stopnia Lars był naprawdę szalony. Gdyby zabił Feliksa, winą za to zapewne obarczono by napastników. Wrócił do toczącej się walki.

Gdy zaszedł za róg, ujrzał kilku martwych wojowników cofających się przed wściekłymi razami topora Gotreka. Rozbłysła niebieska błyskawica i nagle cała przestrzeń wokół niego opustoszała. Poszukał wzrokiem panią Winter, ale gdzieś zniknęła. Gdy odwrócił się, ujrzał zdziwionego, stojącego z obwisłą szczęką Gotreka.

Tuż przed świtem napastnicy wycofali się ku wzgórzom, zostawiając wojownikom barona von Diehla zniszczone wozy i ciała poległych. W świetle poranka Feliks obserwował uważnie, jak Gotrek bada ruiny starego, kamiennego łuku. Dolatujący stamtąd zaduch stęchłego powietrza i próchniejących kości przyprawiał go o mdłości. Odwrócił się, by spojrzeć w dół zbocza, gdzie pozostali przy życiu wygnańcy układali ze szczątków zniszczonych wozów stosy pogrzebowe dla zabitych. Nikt nie chciał pochować ich tak blisko wzgórz.

Feliks usłyszał jak Gotrek mruknął z ponurą satysfakcją i odwrócił się, by spojrzeć na niego. Krasnolud przesuwiał dłonią po wyszczerbionych

kamieniach z ledwie widoczną pajęczyną starych runów. Gotrek uniósł wzrok i wyszczerzył dziko zęby.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości, człeczyno, runy strzegące wejścia zostały skruszone od zewnątrz. – Feliks spojrział na niego. Zakiełkowało w nim przerażające podejrzenie.

– Wygląda na to, że ktoś dopomógł klątwie von Diehlów – szepnął Feliks.

Deszcz zacinał z szarego nieba. Wóz toczył – się z łoskotem na południe. Wody Rzeki Grzmotów pędziły obok karawany jak oszalałe. Wezbrana od deszczów rzeka wciąż groziła wylaniem. Feliks potrząsnął lejcami, woły zaryczały i podwoiły wysiłki, ciągnąc wóz po błotnistym gruncie.

Obok niego kichnęła Kirsten. Jak prawie wszyscy była blada i źle wyglądała. Trudy długiej podróży i pogarszająca się pogoda zrobiła z nich wszystkich ofiary choroby.

Nie przyjmie ich żadne miasto. Obecność wojowników zawsze groziła wybuchem walk, chyba że przejdą na ziemię niczyje. Droga zdawała się nie mieć końca. Odnosił wrażenie, że będą jechali tak bez końca i nigdzie nie znajdą spoczynku. Nawet świadomość tego, że ktoś z karawany wyzwolił martwych wojowników spod wzgórz przestała go niepokoić i, gdy nie udało się znaleźć winowajcy, przerodziła się tylko w słabe podejrzenie.

Feliks popatrzył na Gotreka ze zmieszaniem, oczekując, że kichnięcie Kirsten wywoła jego zwykłe głupie komentarze na temat ludzkiej słabości. Zabójca Trolli siedział jednak cicho wpatrując się w Góry Krawędzi Świata z nietypową nawet dla niego uwagą.

Feliks zastanawiał się, czy znajdzie w sobie dość odwagi, by powiedzieć

Gotrekowi, że nie ma zamiaru dalej z nim podążać, że chce osiąść gdzieś wraz z Kirsten. Obawiał się reakcji krasnoluda. Czy Gotrek uzna to tylko za jeszcze jeden przykład ludzkiego wiarołomstwa, czy też wpadnie we wściekłość?

Feliks czuł się przygnębiony. Lubił Zabójcę Trolli bez względu na jego złe humory i zjadliwe uwagi. Myśl o Gotreku samotnie wędrującym na spotkanie zagłady prawdziwie go dręczyła. Z drugiej jednak strony kochał Kirsten i perspektywa rozstania się z nią była dla niego bolesna. Być może Gotrek wyczuwał to i dlatego teraz był tak zamknięty w sobie. Feliks wyciągnął rękę i uściskał dłoń dziewczyny.

– Czego pan tak wypatruje, panie Gumisson? – spytała Kirsten.

Gotrek nie odwrócił się, by na nią spojrzeć, tylko wciąż spoglądał tęsknie na góry... Początkowo wyglądało na to, że Zabójcą Trolli jej nie odpowie, ostatecznie jednak wskazał zarys jednej, otulonej chmurami góry.

– To Caraz-a-Carak, Wieczny Szczyt. Mój dom – powiedział.

Jego głos był łagodny jak nigdy i serce się Feliksowi ścisnęło, gdy usłyszał brzmiającą w nim bezmierną tęsknotę. Gotrek odwrócił się, żeby na nich spojrzeć i na jego twarzy malowało się tak głębokie, pierwotne cierpienie, że Feliks musiał opuścić wzrok. Grzebień włosów krasnoluda był spłaszczony deszczem, a jego twarz ponura i znużona. Kirsten wyciągnęła rękę, aby poprawić mu płaszcz na ramionach zupełnie jak zagubionemu dziecku.

Gotrek usiłował spojrzeć na nią gniewnie, nic jednak z tego nie wyszło i tylko uśmiechnął się ze smutkiem, ukazując połamane zęby. Feliks zastanawiał się, czy przypadkiem krasnolud nie przebył tej drogi tylko po to, żeby choć z daleka spojrzeć na te góry. Zauważył krople wody

zwisającą z końca nosa Zabójcy Trolli. Mogła to być łza, ale mógł być tylko deszcz.

Jechali dalej na południe.

– Nie możemy ich teraz opuścić – powiedział Feliks przeklinając się w myślach za to, że jest takim tchórzem.

Gotrek odwrócił się i popatrzył na znaleziony przez nich wałacy się, warowny dwór. Widział dym, unoszący się pióropuszcami z kominów niedawno uprzątniętego budynku.

– Dlaczego, człeczyno? Znaleźli wolne tereny, ziemie uprawną i ruiny tego starego fortu. Niewielkim nakładem pracy może zostać wzmocniony i okazać się dosyć bezpieczny.

Feliks gorączkowo starał się znaleźć przekonywający argument. Był zaskoczony, że tak bardzo stara się opóźnić moment, w którym będzie musiał powiedzieć Gotrekowi o ich rozstaniu. Potępiające spojrzenie krasnoluda przypomniało mu ojca i jego surowość. Poczuł, że znowu ma ochotę się usprawiedliwiać i nienawidził się za to.

– Gotreku, jesteśmy zaledwie o sto mil od miejsca, w którym Rzeka Grzmotów wpada do Rzeki Krwi. Dalej są tylko Złe Ziemie i horda goblinów na wilkach.

– Wiem o tym, człeczyno. Musimy tamtędy przejść po drodze do Karag Osiem Szczytów.

Powiedz mu, myślał Feliks. Ale nie mógł.

– Nie mogę jeszcze iść. Widziałeś ciała, które znaleźliśmy we dworze. Miały rozłupane kości, ktoś wydobywał z nich szpik. Palisady zostały spalone. Dieter znalazł niedaleko ostrogę dosiadającego wilka goblina.

Miejsce nie nadaje się jeszcze do obrony. Przy twojej pomocy, przy pomocy krasnoluda można będzie je ufortyfikować.

Gotrek roześmiał się.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy.

– Bowiem krasnoludy dobrze pracują przy kamieniu i fortyfikacjach.

Wszyscy to wiedzą.

Gotrek ponownie spojrzął z namysłem na dwór. Wydawało się, że przypomina sobie poprzednie życie. Zmarszczył czoło i oparł je o stylisko topora.

– Nie wiem – rzekł w końcu – czy nawet krasnolud da radę ufortyfikować to miejsce w dostatecznym stopniu. Typowa ludzka robota, człeczyno.

Marna, bardzo marna.

– Jestem przekonany, że można je uczynić bezpiecznym i wiem, że możesz tego dokonać, Gotreku.

– Możliwe. Ale minęło wiele czasu od kiedy pracowałem przy kamieniu, człeczyno.

– Krasnolud nigdy nie zapomina takich rzeczy. I jestem pewien, że baron hojnie zapłaci ci za twoje usługi.

Gotrek parsknął podejrzliwie.

– Mam nadzieję, że będzie to więcej niż płaci najemnikom pod bronią.

Feliks uśmiechnął się.

– Chodź. Dowiemy się.

Feliks nie mógł spać i wstał cicho. Ubrał się szybko nie chcąc budzić Kirsten. Chroniąc ją przed chłodem, delikatnie poprawił płaszcze, których używali zamiast kocy, a potem pocałował ją delikatnie w czoło. Poruszyła

się, ale nie obudziła. Wziął miecz, który leżał przy wejściu do chaty i zanurzył się w chłodne powietrze nocy. Nadchodzi zima, pomyślał widząc wydobywające się z ust przy każdym oddechu kłęby pary.

W świetle księżyca przeszedł między budami rozrzuconymi bezładnie pod osłoną nowo wzniesionej, otaczającej dwór palisady. Po raz pierwszy od dawna czuł wewnętrzny spokój. Nawet nocne odgłosy obozu tchnęły tym spokojem. Fort został ukończony przed pierwszymi śniegami i wszystko wskazywało na to, że osadnicy będą mieli dość ziarna, żeby przetrwać zimę i zasiać wiosną czekające pola.

Wsluchiwał się w porykiwanie bydła i miarowy krok strażnika na pomoście palisady. Popatrzył do góry i ujrzał światło, które wciąż jeszcze paliło się w oknie pokoju Manfreda. Zaczął myśleć o swoich powikłanych losach. Nie jest to miejsce, które wybrałbym na osiedlenie w dawnych czasach – ufortyfikowana wioska na skraju niczego. Ciekawe, co powiedziałby mój ojciec, gdyby zobaczył, że mam zamiar zostać rolnikiem. Zapewne umarłby ze wstydu. Uśmiechnął się.

Czuł, że wszystko go tu ekscytuje. Miała na to wpływ świadomość, że coś się zaczyna, że zaczyna kształtować się nowa społeczność. A ja będę brał udział w kształtowaniu tej społeczności, pomyślał. To doskonałe miejsce, żeby rozpocząć nowe życie.

Podszedł do wieży strażniczej, gdzie, jak wiedział, znajdzie Gotreka.

Krasnolud nie mógł spać, był niespokojny i chętny do ruszenia w dalszą drogę. Lubił spędzać nocne warty w wieży, którą sam zaprojektował.

Feliks wspiął się po drabinie i wszedł przez klapę w podłódze wartowni.

Zobaczył, że Gotrek wpatruje się w noc. Westchnienie krasnoluda

sprawiło, że poczuł się trochę nieswojo, ale natychmiast wziął się w garść.

Był zdecydowany wreszcie powiedzieć krasnoludowi prawdę.

– Nie możesz spać, co, człeczyno?

Feliks zdołał skinąć głową. Kiedy powtarzał sobie swoją przemowę, wszystko wydawało się proste. Wytłumaczy przekonująco sytuację, powie Gotrekowi, że zostaje z Kirsten i będzie czekał na jego odpowiedź. Ale teraz było trudniej. Jeżyk miał jak z drewna i czuł, że słowa nie chcą przejść mu przez gardło.

Uzmysłowił sobie, że rozważa w myśli ich wszystkie zarzuty, które może postawić mu Gotrek. Że jest tchórzem i wiarołomcą, że oto jak odwdzięcza się krasnoludowi za ocalenie życia. Feliks musiał przyznać, że zaprzysiągł podążyć z Gotrekiem by opisać jego śmierć. Co prawda złożył te przysięgę, gdy był pijany i świeżo wdzięczny za wyciąg niecić go spod kopyt kawalerii Cesarza, ale przysięga pozostaje przysięgą, czego na pewno nie omieszka przypomnieć mu Gotrek.

Podszedł i stanął obok krasnoluda. Patrzyli obaj nad otaczającą palisadę fosą, na której wewnętrznym stoku były umieszczone zaostrzone pale. Jedyne łatwe dojście zapewniał usypany z ziemi most, nad którym górowała wieża.

– Gotrek...

– Co, człeczyno?

– Dobrze zbudowałeś – odparł.

Gotrek spojrział na niego i uśmiechnął się posępnie. – Wkrótce się o tym przekonamy – rzekł. Feliks popatrzył tam, gdzie wskazywał Zabójca Trolli. Pola były czarne od wilczej jazdy. Gotrek uniósł róg do ust i mocno zadął.

Feliks uchylił się, gdy strzała odłupała drzazgi z parapetu tuż przez nim. Sięgnął w dół i z palców martwego strażnika wyjął kuszę. Żołnierz leżał z gardłem przebitym strzałą. Feliks poszukał bełtu i z wysiłkiem napiął broń. Wreszcie włożył pocisk na miejsce.

Wyprostował się. Ogniste strzały migwały nad jego głową jak spadające gwiazdy. Zza jego pleców dolatywał zaduch spalenizny.

Spojrzał w dół. Dosiadające wilków gobliny otoczyły obóz jak wilcze stado otacza bydło. Widział jak zielona skóra jeźdźców połyskuje tłusto w świetle płonących strzał. Płomienie oświetlały pełne nienawiści ślepie i pożółkłe kły.

Muszą ich być setki, pomyślał Feliks. Podziękował Sigmarowi za fosę, zaostrzone koły i palisadę, do budowy których zmusił Ich Gotrek. Swego czasu wydawało się to zbędną pracą i powszechnie krasnoluda przeklinano. Teraz wydawały się ledwie wystarczające.

Feliks wymierzył w jeźdźca, który miał właśnie wypuścić w kierunku wieży unurzaną w smole strzałę. Pociągnął za spust kuszy. Bełt pomknął przez noc i trafił goblina w pierś. Jeździec przetoczył się do tyłu przez łęk siodła. Płonąca strzała wzbija się pionowo do góry, jakby wycelowana w księżycę.

Feliks schylił się i załadował kuszę ponownie. Opierał się plecami o parapet, widząc przed sobą dziedziniec. Ludzki łańcuch złożony z kobiet i dzieci przenosił wiadra ód beczek z deszczówką do płonących szop, na próżno starając się ugasić ogień. Zobaczył osuwającą się na ziemię starą kobietę i innych, uskakujących przed strzałami, które padały wokoło jak czarny deszcz.

Odwrócił się i strzelił znowu. Tym razem chybił. Noc wypełniona była



kakofonią dźwięków. Wrzaski ginących, wycie wilków, śmiercionośny, szeleszczący szept strzał i bełtów z kusz. Słyszał . Gotreka śpiewającego radośnie po krasnoludzką i dobiegający z oddali suchy, zgrzytliwy głos barona wydającego spokojne, przemyślane rozkazy. Psy szczekały, konie kwiczały z przerażenia, dzieci płakały. Feliks żałował, że nie jest głuchy. Usłyszał nie opodal skrobanie pazurów o drewno i zerwał się na nogi. Wyrzwał za parapet i nieomal stracił twarz. Tuż przed nią zatrzasnęła się paszcza wilka. Bestia przeskoczyła fosę nie zwracając uwagi na pokryte ciałami jego poległych towarzyszy pale.

Poczuł smród oddechu zwierzęcia, zobaczył jeźdźca trzymającego się kurczowo potężnej szyi, gdy bestia szykowała się do następnego skoku. Feliks strzelił. Bełt trafił wilka prosto w pierś powalając go na ziemię. Jeździec stoczył się w bok i umknął w noc.

Feliks zauważył, że pani Winter wspięła się na wieżę strażniczą i stanęła u boku Gotreka. Miał nadzieję, że jej magia będzie mogła tu pomóc. W pełnym wycia chaosie tej nocy trudno było się zorientować, ale Feliks czuł, że sprawy obrońców nie układają się najlepiej. Fosa wypełniła się już po brzegi ciałami napastników, ale strażnicy, mimo osłony parapetów, też padali jak muchy pod nieustającymi salwami strzał.

Gdy Feliks ponownie spojrział na zewnątrz, zobaczył grupę orków w ciężkich zbrojach. Pędzili w stronę bramy, trzymając zaostrzony pień drzewa. Kilka bełtów z kusz wylądowało między nimi, większość jednak odbiła się od tarcz tych, którzy biegli obok niosących taran. Usłyszał dudniący odgłos uderzenia pnia w bramę.

Feliks namacał miecz, szykując się do skoku z palisady na dziedziniec i podtrzymania bramy. Jeżeli wrota padną, będzie mógł jedynie drogo

sprzedać swoje życie – obrońców było zbyt niewielu, aby zdołali długo powstrzymać napastników. Czuł jak strach skręca mu wnętrzności. Miał nadzieję, że Kirsten jest bezpieczna.

Zabrzmiał spokojny głos pani Winter. Śpiewała coś, jak kapłan modlitwę. A potem uderzyła błyskawica.

Z nieba trysnęło oślepiające, błękitne światło. W powietrzu zapachniało ozonem. Włosy na karku Feliksa stanęły dęba. Próbował dostrzec, jak błyskawica trafia niosących taran. Usłyszał ich wrzaski. Kilku odskoczyło do tyłu, podskakując błazeńsko i porzucając pień drzewa. Upadli na ziemię. Ich ciała dymiły. Powietrze wypełnił obrzydliwy smród palonego mięsa.

Znowu rozbłysły błyskawice, i znowu. Wilki wyły z przerażenia, deszcz strzał wyraźnie osłabł, mdlący zapach mocno się nasilił. Feliks popatrzył na panią Winter. Jej twarz była skupiona i blada, włosy sterczały jak druty. W następujących po sobie rozbłyskach jej oblicze było raz błękitne, raz czarne. Wyglądała jak demon. Nie podejrzewał, że ludzka istota może dysponować podobną mocą.

Wilcza jazda i piechota orków wycofały się, wyjąc z przerażenia, poza zasięg straszliwych piorunów. Feliks odetchnął z ulgą. Nagle dostrzegł w oddali poblask światła.

Wbił spojrzenie w mrok i zobaczył starego, zielonoskórego szamana. Wokół jego czaszki tańczyła czerwona poświata, oświetlając wilczą czapę i kościany kostur w powykrzywianej ręce. Nad jego głową zamigotał promień koloru krwi, który po chwili strzelił naprzód i uderzył w panią Winter.

Jęknęła i zatoczyła się do tyłu. Gotrek wyciągnął rękę, by ją wesprzeć.

Feliks widział, jak jej twarz pobladła i wykrzywiła się z bólu. Stara kobieta zacisnęła zęby, jej czoło pokryło się potem. Najwyraźniej zmagala się ze starym szamanem w pojedynku woli.

Dosiadające wilków gobliny gromadziły się wokół co odważniejszych dowódców. Zaczęły wracać, choć ich nowe ataki nie miały już dzikiej wściekłości pierwszego szturmu.

Walka trwała przez całą noc.

Rankiem Feliks podszedł do Gotreka, który stał wraz z Manfredem, Dieterem i panią Winter. Kobieta wyglądała na zmęczoną ponad ludzką miarę. Ludzie gromadzili się wokół niej, patrząc z podziwem.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał Gotreka.

– Dopóki trzyma się pani Winter, utrzymamy się i my. Jeżeli będzie w stanie przywoływać błyskawice – Manfred spojrział na Gotreka, który skinął, potakująco głową.

Z drugiej strony dziedzińca zaczął się jakiś ruch.

– Pani Winter, proszę przyjść szybko, baron został ciężko ranny. Strzała, być może zatruta – rozległ się głos doktora Stockhausena.

Czarodziejka zmęczonym krokiem skierowała się w stronę dworu. Feliks zobaczył jak z tłumu wyszła Kirsten, żeby jej pomóc.

Uśmiechnął się do niej, zadowolony, że oboje żyją.

Z grzmotem podobnym do gromu brama zakołysała się na zawiasach.

Jeszcze jeden taki cios i upadnie, pomyślał Feliks. Spojrział na Gotreka, który badał kciukiem ostrze swojego topora. W drugą noc oblężenia

Zabójca Trolli z radością oczekiwał walki wręcz. Feliks poczuł, że ktoś

potrząsnął go za ramię. Odwrócił się i zobaczył Hefa. Potężny mężczyzna sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego.

– Gdzie jest pani Winter? – zapytał. Skinął głową w stronę wrót. – To nie taran. To kostur tego starego diabła. Będzie miał nasze głowy w swoim szalasiu zanim minie ta noc, chyba że wiedźma go powstrzyma.

Feliks przeniósł spojrzenie na żałośnie przeredzoną grupkę obrońców. Zobaczył zmęczonych wojowników – rannych mężczyzn, którzy z ledwością mogli utrzymać miecz, nastolatków, chłopców i dziewczęta, uzbrojonych w widły i inną improwizowaną broń. Zza palisady dobiegało ogłuszające wycie wilków. Tylko Gotrek sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego.

– Nie wiem, gdzie ona jest. Dieter poszedł po nią dziesięć minut temu.

– No cóż, trochę długo to trwa.

– W porządku – odparł Feliks. – Przyprowadzę ją.

– Pójdę z tobą – rzekł Het.

– O nie, nie pójdziesz – stwierdził Gotrek. – Do tego człeczyny mam zaufanie, że wróci. Ty zostaniesz tutaj. Gobsy przejdą przez bramę tylko po naszych zwłokach.

Feliks popędził do dworu. Wiedział, że Kirsten jest z czarodziejką. Jeżeli sprawy przyjmą tak zły obrót, jak się obawiał, przynajmniej zobaczy ją zanim wszystko się skończy.

Ledwo dotarł do drzwi, rozległ się trzask pękającego drewna i huk padającej bramy. Usłyszał Gotreka ryczącego swój okrzyk bojowy i krzyki przerażenia niektórych wojowników. Obejrzał się i zobaczył straszliwy widok.

W otworze po wywalonej bramie pojawił się szaman dosiadający

wielkiego, białego wilka. Wokół jego głowy płonęła aureola czerwonego światła. Tańczyło ono również na czubku jego kościanego kostura, barwiąc twarze wszystkich wokół na kolor krwi. Z palisady poleciał bełt, ale zanim dosięgnął maga jakaś siła zmieniła kierunek jego lotu.

Obok szamana szło sześciu wielkich, dzikich orków, ubranych w kolczugi i uzbrojonych w topory. Za ich plecami widać było morze wilków i zielonych twarzy. Gotrek roześmiał się głośno i runął do ataku. Ostatnią rzeczą, którą Feliks dostrzegł zanim wszedł do środka, był Zabójca Trolli biegnący z najeżoną brodą i wysoko uniesionym toporem w kierunku źródła tego straszego światła.

Wewnątrz dworu panowała dziwna cisza. Grube mury tłumiły dobiegający z zewnątrz hałas walki. Feliks pobiegł korytarzem, wzywając głośno panią Winter i jego głos dźwięczał niesamowicie w cichych salach.

Ciała odnalazł w głównej komnacie. Panią Winter pchnięto kilkakrotnie w pierś. Jej czysta, szara suknia, była teraz czerwona. Na twarzy malował się wyraz zaskoczenia, jakby śmierć dopadła ją zupełnie niespodziewanie. Jakim cudem gobliny dostały się do środka? – przebiegła przez głowę Feliksa szalona myśl.

Ale wiedział, że nie zrobił tego goblin.

Przy drzwiach leżało następne ciało. Pchnięto ją w plecy, gdy usiłowała otworzyć drzwi. Feliks zbliżył się, czując jak serce podchodzi mu do gardła. Delikatnie odwrócił ciało Kirsten. Poczul króciutki przebłysk nadziei widząc, że otwiera oczy, potem zauważył jednak strumyk krwi, płynący z jej ust.

– Feliks? – powiedziała. – To ty? Wiedziałam, że przyjdiesz.

Głos miała słaby i gdy mówiła, krew pienila się na jej wargach.

Zastanawiał się, jak długo już tu leży.

– Nic nie mów – rzekł. – Leż spokojnie.

– Nie mogę. Musze; mówić. Chce ci powiedzieć, że jestem szczęśliwa, że przybyłam nad Rzekę Grzmotów. Szczęśliwa, że spotkałam ciebie.

Kocham cię.

– Ja też cię kocham – powiedział jej po raz pierwszy, a potem spostrzegł, że oczy dziewczyny są już zamknięte. – Nie umieraj – prosił, kołysząc ją delikatnie w ramionach, ale Kirsten już nie żyła.

Czuł, jak jej ciało wiotczeje, a jego serce obraca się w popiół. Ze łzami w oczach ostrożnie położył ją na podłodze. Potem spojrzął na drzwi, które Kirsten usiłowała otworzyć i ogarnęła go zimna wściekłość. Popędził wzdłuż korytarza.

Ciało Dietera leżało w wejściu do pokoju barona. Kość skroniowa jego głowy była wgnieciona. Feliks wyobraził sobie, jak Dieter wbiega przez drzwi i zostaje uderzony z boku przez oczekującego nieprzyjaciela.

Feliks tygrysim skokiem przeskoczył przez ciało, potoczył się, padając na podłogę i zerwał na równe nogi. Obrzucił spojrzeniem pokój. Stary baron leżał w łóżu z nożem wbitym w serce. Pościel i bandaż na jego piersi były przesiąknięte krwią.

Feliks popatrzył z wściekłością na fotel, w którym siedział Manfred trzymając na kolanach czerwony od krwi miecz.

– Klątwa wreszcie się dopełniła – oznajmił dramaturg opanowanym głosem, w którym dźwięczały nuty hysterii. Podniósł wzrok i Feliks zadrżał. Twarz Manfreda wyglądała jak maska, zza której patrzyło coś innego, obcego.

– Wiedziałem, że moim przeznaczeniem jest dopełnić klątwę – ciągnął dalej Manfred swobodnym tonem. – Wiedziałem to od chwili, gdy zabiłem swojego ojca. Gottfried uwięził go, kiedy zaczęła się przemiana. Zamknął go w starej wieży, sam zanosił mu całe pożywienie. Nikomu nie pozwalano wchodzić do wieży z wyjątkiem Gottfrieda i pani Winter. I nikt tam nie wszedł, aż do chwili, w której ja to uczyniłem. Ulric świadkiem, chciałbym, żeby to się nie stało.

Wstał, ściskając rękojeść miecza. Feliks przyglądał mu się, sparaliżowany własną nienawiścią.

– Znalazłem tam mego ojca. Istniało wciąż jeszcze rodzinne podobieństwo mimo tego w jaki sposób... się zmienił. Poznał mnie i straszliwym, chrypiącym głosem nazwał mnie swym synem. Błagał, żebym go zabił. Był zbyt wielkim tchórzem, by zrobić to samemu. Gottfried również. Myślał, że czyni mojemu ojcu łaskę utrzymując go przy życiu. Utrzymując przy życiu mutanta.

Manfred zaczął przysuwać się bliżej. Feliks zauważył kapiącą z ostrza miecza i plamiącą podłogę krew. Czuł się oszołomiony i zmęczony. Szalony arystokrata stał się centralnym punktem jego świata.

– Gdy poczułem krew starca spływającą po moim nożu, wszystko się zmieniło. Po raz pierwszy zobaczyłem wszystko jasno. Zobaczyłem, w jaki sposób Chaos bruka wszystkie rzeczy, wykrzywając i psując je tak, jak uczynił to z dałem mego ojca. Wiedziałem, że jestem jego synem i że w moim ciele, w mojej krwi jest piętno demona. Byłem narzędziem Chaosu, nasieniem z jego lędźwi. Byłem dzieckiem ciemności. Moim przeznaczeniem było zniszczyć linię von Diehlów. Tak jak to uczyniłem. – Roześmiał się. – Wygnanie stanowiło wspaniałą, zesłaną, przez piekło

sposobność. Lawina była moim dziełem, dobrym początkiem. Myślałem, że mi się nie powiodło, kiedy wyzwoliłem martwych, a oni nie zdołali zniszczyć mojego wuja i jego świty. Ale teraz już was nic nie ocali.

Wszystkich pochłonie ciemność. Klątwa się dopełniła.

– Jeszcze nie – odparł Feliks głosem zduszonym nienawiścią. – Jesteś von Diehlem i wciąż jeszcze żyjesz. Jeszcze cię nie zabiłem.

Rozległ się wybuch szaleńczego śmiechu. Feliks ponownie odniósł wrażenie, że patrzy na jakiegoś diabła w ludzkim ciele.

– Panie Jaegar, ma pan poczucie humoru. Doskonale! Wiedziałem, że będzie pan zabawny. Jakże jednak może pan zabić nasienie Chaosu?

– Przekonajmy się – rzekł Feliks rzucając się do ataku.

Manfred błyskawicznym, wężowym ruchem sparował cios i sam zaatakował. Ostrza mieczy rozbłyskiwały między nimi jak błyskawice. Stal dzwoniła o stal. Ręka, w której Feliks trzymał miecz drętwiała od uderzeń Manfreda. Arystokrata dysponował siłą szaleńca.

Feliks cofał się. W normalnych okolicznościach strach przed obłędem Manfreda by go sparaliżował, teraz jednak był tak przepełniony wściekłością i nienawiścią, że nie znalazło się w nim miejsca na przerażenie. Jego świat był pusty. Żył tylko po to, żeby zabić mordercę Kirsten. Było to jedyne życzenie, jakie w nim pozostało. W pokoju barona walczyli dwaj szaleńcy.

Manfred nacierał z kocią zręcznością. Uśmiechał się z pewnością siebie, zupełnie jakby rozbawił go jakiś drobny żarcik. Jego ostrze rozpinęło stalową sieć, która powoli zaciągała się wokół Feliksa. Oczy mu połyskiwały – zimne i nieludzkie.

Feliks poczuł kamienie muru za plecami. Uderzył z wypadu, celując w



twarz Manfreda. Arystokrata sparował z leniwą łatwością. Stali przed sobą z ostrzem wspartym o ostrze. Ich twarze oddzielało zaledwie kilka cali. Napierali na siebie z całej siły próbując uzyskać przewagę nad przeciwnikiem. Mięśnie na karku Feliksa spęczniały, ramie bolało ze zmęczenia, gdy powoli i nieubłagane Manfred spychał jego rękę, niemal dotykając ostrą jak brzytwa klingą twarzy Feliksa.

– Żegnam pana, panie Jaegar – rzucił obojętnie.

Feliks przenosząc ciężar ciała na jedną nogę z całej siły wbił obcas buta w stopę Manfreda. Poczul pękające kości, zobaczył jak twarz arystokraty wykrzywia się z bólu. Napór zelżał. Przesunął ostrze miecza do przodu i przeciągnął nim po gardle Manfreda. Dramaturg zatoczył się do tyłu i Feliks pchał go sztychem prosto w serce.

Manfred padł na kolana i popatrzył na Feliksa tępym, nic nie rozumiejącym spojrzeniem. Jaegar popchnął go butem i splunął mu w twarz.

– Teraz klątwa się dopełniła – rzekł.

Ze swobodną myślą i bez leku Feliks wyszedł na chłodne powietrze nocy.

Spodziewał się spotkać tam wilczą jazdę i śmierć. Już nie dbał o to.

Oczekiwał tego. Teraz zaczął rozumieć Gotreka. Nie miał już po co żyć.

Strach go już nie dosięgał. Kirsten, wkrótce będę z tobą, pomyślał.

W bramie wejściowej zobaczył Gotreka stojącego wśród stosu ciał. Krew spływała ze straszliwych ran na jego ciele. Pochylony do przodu opierał się na toporze, niemal nie mogąc utrzymać się na nogach. Nie opodal Feliks zobaczył ciała Hefa i innych obrońców.

Gotrek odwrócił się, by na niego spojrzeć i Feliks zauważył, że krasnolud

stracił jedno oko, wyrwane z oczodołu. Gotrek zatoczył się, upadł na twarz i powoli, z trudem próbował podnieść się na nogi.

– Co cię zatrzymało, człeczyno? Straciłeś dobrą bijatykę.

Feliks podszedł do niego.

– Na to wygląda.

– Te przeklęte gobsy są cholernymi tchórzami. Kiedy zabijesz ich przywódców, reszta podwija ogony i ucieka.

Roześmiał się z bólem.

– Oczywiście musiałem jeszcze z tuzin ubić, zanim to zrozumieli.

– Oczywiście – przytaknął Feliks patrząc na stos martwych wilków i orków. Dostrzegł również i wilczą czapę szamana.

– Co za przeklęta sprawa – rzekł Gotrek. – Chyba nie mogę wstać.

Feliks patrzył na krótki szereg niedobitków, który pod baczynym okiem kilku ocalałych żołnierzy rozpoczął wędrówkę na północ. Feliks sądził, że być może teraz, gdy nie towarzyszyło im całe wojsko barona, zostaną wpuszczeni do któregoś z osiedli. Miał taką nadzieję – zwłaszcza ze względu na dzieci.

Odwrócił się w stronę bratniej mogiły, kurhanu, pod którym pochowali ciała zabitych. Pomyślał o swojej przyszłości, którą pogrzebał wraz z nimi. Znowu był bez ziemi i bez domu. Poprawił plecak na ramionach i spojrzał na odległe góry.

– Żegnaj – powiedział. – Będzie mi ciębie brakowało.

Gotrek z irytacją potarł nową opaskę na oku, a potem wydmuchał nos.

Podniósł topór. Feliks zauważył, że rany krasnoluda były jeszcze różowe i ledwo zabliznione.

– W górach są trolle, człeczyno. Czuję Ich smród!

Gdy Feliks się odezwał, jego głos był matowy i beznamiętny.

– Chodźmy więc i dobierzmy się do nich.

Wymienił z Gotrekiem spojrzenia pełne wzajemnego zrozumienia.

– Jeszcze zrobimy z ciebie Zabójcę Trolli, człeczyno.

Zmęczonym krokiem ruszyli w stronę gór, idąc wzdłuż lśniącego nurtu

Rzeki Grzmotów.